

Dziś w numerze: Schemat na życie • Ranga łódzkich uczelni
 • Przemysłnik • Wenus w pianie • Dwoje na brzegu • Z wielorybem
 w „kotka i myszkę” • Felietony • Recenzje • Polonica

oddźwięki



Nr 22 (384)
 5. VI. 1966 r.
 10 stron
 Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



IERZY DARNAL

DZIEŃ NAJWAŻ- NIEJSZY

Reportaże ze zjazdów poetyckich zwykło się zaczynać od słów: „na koszt Rzeczypospolitej”, czy „Rzeczpospolita zapłaci”. Jak bowiem wieść gminna niesie, mamy w kraju więcej poetów niż obywateli, co mnie osobiście zresztą zupełnie nie przeszkadza. Aktualne dane ustalone na podstawie łódzkiego festiwalu pozwalają tę liczbę nareszcie uściślić. Jak bowiem poinformował przewodniczący jury Marian Piechał, na trzy ogłoszone w związku z festiwalem poezji konkursy wpłynęło „zaledwie” 4327 utworów od 978 poetów i słowiarzy (oba te terminy za chwilę wyjaśnimy, przechodząc do omówienia referatów). Niech mi jednak będzie wolno wtrącić, że ci, za których przejazdy i hotele zapłaciło miasto, wnieśli wiele cennych uwag i postulatów w trwającej przez dwa dni dyskusji, dwie zaś wypowiedzi od rzeczy dotyczyły obywateli miejscowych działających na własne ryzyko i rachunek.

Ten minimalny procent wypowiedzi od rzeczy czuło się zresztą, jak jakiś brak, mamy bowiem jeszcze w pamięci pięć kolejnych festiwali młodej poezji polskiej w Poznaniu, z których ostatni zakończył się cisnięciem butelki od piwa w kierunku stolika, gdzie zasiadali dostojni jurorzy. Mamy też w pamięci obraz fantycznych zjazdów przedstawiony w noweli Czycza „And”, drukowanej przed laty na łamach miesięcznika „Twórczość”. Łódzki festiwal, przynajmniej ten pierwszy, nie doznał podobnej literatury, cechowała go bowiem wprost zadziwiająca rzeczowość mimo bezpartonowej konfrontacji postaw poetyckich twórców, a może właśnie dzięki tej bezkompromisowości.

Jak się wydaje organizatorzy (Wyd. Kultury Prez. RN m. Łodzi i Oddział Łódzki Związku Literatów Polskich) szczęśliwie dobrali referentów, chociaż nie wszyscy z nich mówili na temat. Tak więc krytyk Artur Sandauer zamiast pracy poświeconej „Polskiej poezji współczesnej” przedstawił esej o stosunku poety do słowa pomijając wielu twórców, którzy z różnych powodów „nie pasują” do jego Sandauerowskiej wizji sztuki. Za to introdukcja omawiająca doświadczenia poetyckie symbolistów francuskich, jak to potem uszczypliwie zauważył w dyskusji Anatol Stern, miała na sobie piętno Sorbony, w części zaś dotyczącej eksperymentów Chlebnikowa i rosyjskiej poezji początku XX wieku, piętno Instytutu im. Gorkiego w Moskwie. Zostało jeszcze parę uniwersyteckich europejskich godnych uwagi, ale nie możemy dalej iść tropem polemicznym Anatola Sterna, ponieważ Artur Sandauer nie dokończył swego ciekawie i zaczepnie zarysowanego referatu. Po prostu nie zmieścił się w skąpych ramach czasowych przewidzianych przez porządek obrad, musiał ustąpić miejsca na mównicę kolejnemu referentowi, którym był Julian Rogoziński. Stworzyło to dość zabawny sytuację. Z wygłoszonej części eseju można było wysnuć wniosek, że Sandauer zdecydowanie broni stanowiska tzw. „słowiarzy”. Jest to termin ukuty przez Juliana Przybosa, który zresztą nie nadaje mu znaczenia światopoglądowego, a jedynie czysto techniczne. Dla Przybosa „słowiarz” to tyle, co poeta. W krytyce literackiej przyjęło się jednak wiązać termin „słowiarz” z określoną postawą poetycką. Przedwiniętej tej postawy zaatakowali więc Sandauera, który w przerwie obrad zwierzył mi się, że znajduje się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Miał bowiem znakomity krytyk

KONRAD FREJDLICH

DREWNO UMIE MÓWIC

To była podróż przez glińskie, rozmiękłe pola, na których ongiś lubił hulać Boruta Błotny, a teraz, mocniej od złego, dają się we znaki kaluże i mokradła, w których przystosowany do „terenowej” jazdy samochód zapada się po resory. I diablo długo ciągnie się ta wieś Oraczew, zanim wreszcie napotykamy kolejowy nasyp, od którego trzeba skręcić w prawo, aby tak samo rozmiękłą miedzą wjechać w obejście Ignacego Kamińskiego.

Zrazu wydaje się, że gospodarza nie ma w domu: na podwórzu, przy wykopie pod fundament stoi ustawiony na stojaku radioodbiornik, gdzie skupili się wszyscy mieszkańcy zagrody. Dopiero po chwili dostrzegam przez szwbe siedzącego we wnętrzu chaty starca ze skupieniem oglądającego trzymany w dłoniach kawałek drewna. Kamiński nie zauważył mego przyjazdu. Ma słaby słuch, korzysta ze specjalnego aparatu, który wyciąga z jakiejś szuflady na przyjazd gościa. Ale ma jakieś kłopoty z

jego uruchomieniem, bo przekrzykując nastawiony na cały regulator radioodbiornik, oznajmia na ganku:

— Mam już osiemdziesiąt trzy lata, a dopiero ucze się chodzić.

I śmieje się schodząc ostrożnie po drobnych stopniach. Ale z łaski nie korzysta, nie ma jej zresztą, jak się wydaje, wcale, bo przecież „nie jest jeszcze taki stary, żeby o kij chodząc”. Przeżywa zresztą naprawdę drugą, kto wie, czy nie rzeczywistą młodość, bo dopiero osiem lat temu odnalazł samego siebie, biorąc do ręki kozik, którego nie dotykał od lat, gdy jako chłopak pasał bydło na łąkach.

Młodość ta przyszła późno, ale w końcu przyszła. Było to tej zimy, w której ukończył siedemdziesiąt pięć lat i szykował się do przekazania gospodarki młodszemu, choć gospodarskie ambicje ma jeszcze i teraz, mogą się od niego uczyć te madrale po szkołach i kursach, co wiedza najwięcej, choć jeszcze ani garstki zboża sami nie posiadali.

Tej zimy wędrowała od chaty do chaty młoda kobieta, pani Dabska, pracowniczka Ministerstwa Kultury i Sztuki, wydelegowana w teren słynący z folklorystycznych tradycji, których szczęśliwie, za sprawą samego Boruty, nie wyszłyby jeszcze orkiestry strażackie po remizach i czysta wyborowa w gospodzie. Tereny to bowiem jeszcze odcięte od świata, pozbawione elektryczności i dojazdu, gdzie najbezpieczniej można się dostać szkapą zaprzężoną w wózek na wysokich kołach, zapadający się w błoto po osie. Pod wieczór już, jak w jakiejś gadce ludowej, zawędrowała pani Dabska do gospodarstwa Kamińskich. Dano jej szklankę gorącej herbaty i nocleg, zaczęły się też przypominki o diable Borucie. Ale pani Dabska nie spisywała legend i podań, szukała po wsiach ludowych rzeźbiarzy. Rzeźbiarzy? Nie, o rzeźbiarzach ludowych, jak Łeczycy Łeczycy nikt tutaj nie słyszał.

Wkrótce po wyjeździe przedstawicielki Ministerstwa Kultury, Kamiński zaskoczył

całą rodzinę. Znalazł starą lipową deskę i kazał zanieść wnukowi do oheblowania.

— Po co ci to — próbowali mu wszyscy wyperswadować, ale stary uparł się.

Położył przed sobą gładką deskę i przesiedział nad nią cały wieczór. Jeszcze nie wiedział, co z nią zrobi. Najbardziej obawiał się kompromitacji we własnej rodzinie, bo to co postanowił, gospodarzowi jednak nie przystoi. Tylko wnuk mocno wierzył w dziadka, widocznie jednak wiedział coś niecoś na temat jego talentów.

Kamiński rozmyślał. Miał w domu parę oleodruków, słyszał też coś o kopistach, ale kopista zostać nie chciał. Szukał dla swolch rozmyślań oryginalnych rozwiązań, z jakimś wzruszającym ślepym instynktem, bo nie jest przecież zbyt uczony, sam się nauczył dosyć późno czytać i pisać, do żadnej szkoły nigdy nie chodził.

Uparł się jednak po chłopku, zaczął w sobie i wreszcie ujął w ręce kozik. Z pomocą przyszła mu dziennikarska notatka w gazecie, z której wynikało, że Polacy przepili w ciągu roku ponad 120 mln złotych. Niby nie nowego, bo się Kamiński natrzył na pijaków po wsiach i po jarmarkach, ale nagłe uderzyła go ta liczba wstrząsająca wymowa. W czasach jego młodości rozpiął chłopów zaborca, w latach ostatniej wojny, niemiecki okupant — Kamiński przeżył się nie na żarty. Chłaja? Trzeba im przypomnieć starodawne ludowe porzekadło: „Pij, na starość torba i kij”. Kozikiem wyrzył w drzewie niewprawne litery. Wyciał tam też sylwetkę chłopca z butelką, która podsuwa mu czarna postać diabła.

Obejrzał to sobie Ignacy Kamiński i zamyslił się znowu. Wielkim jest miłośnikiem regionu i żał mu się zrobiło, że pierwsze, co świadomie wyszło spod jego ręki, nie ma żadnego związku z Łeczycą. Odwrócił

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 6

ZE SWIATA

Trzecia eksplozja chińska, przygotowania Francji do serii doświadczalnych nuklearnych w południowym rejonie Pacyfiku, kategoryczne żądania NRF uczestniczenia w zintegrowanych siłach jądrowych Zachodu — przypominają o istnieniu ogromnego problemu broni nuklearnej. Oczywiście, jest to zagadnienie niezwykle złożone. Celem, do którego należałoby dążyć jest — rzecz zrozumiała — całkowite wyeliminowanie tej broni z arsenału militarnego państw, zadaniami najbliższym — uniemożliwienie jej rozpowszechnienia. Brak porozumienia o zakazie proliferacji pozostawia otwarte drzwi dla wszystkich, którzy mają warunki, chcieliby przystąpić do tzw. „kluby atomowego”. Fakt, że jest to przedsięwzięcie niezwykle kosztowne, na które nie stać wiele krajów, nikogo nie może uspokajać. Zdaniem ekspertów — i Izrael, i Zjednoczona Republika Arabska — mają np. wszelkie po temu warunki, by — jeśli tylko tego zechcą — stworzyć własny potencjał nuklearny.

Myszę, że nie trzeba Czytelników przekonywać, że wraz z powiększaniem się liczby krajów dysponujących tą najgroźniejszą z broni, wzrasta niebezpieczeństwo wojny. Może ona przecież wybuchnąć także przez przypadek. Dlatego Związek Radziecki i europejskie kraje demokracji ludowej od lat podejmują wysiłki, zmierzające do stopniowego rozładowania problemu nuklearnego. Trudno już nawet zliczyć, ile przedłożyliśmy w tej sprawie propozycji. Niestety, ani na forum ONZ, ani w „komitecie 18” nie udało się dotychczas osiągnąć jakiegos wyrażenia zgody na częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową.

Dlaczego? Łatwo odpowiedzieć na to pytanie, jeśli wskaże się sprawę sytuacji — Stany Zjednoczone. W różnych okresach w różny sposób uniemożliwiali one postęp. Ostatnio, jako na główną przyczynę, wskazano na chęć USA pozostawienia w proponowanym układzie takiej szczeliny, by mogły przecisnąć się przez nią Niemcy zachodnie i np. jako uczestnik wielostronnej siły nuklearnych, czy też w jakikolwiek inny sposób stać się równoprawnym partnerem jądrowym.

Trudności, jakie piętrzą się na drodze zahamowania zbrojeń, a nawet wojna wietnamska, nie mogą jednak i nie zniechęcają obozu socjalistycznego do inicjatyw w kierunku zapewnienia narodom bezpieczeństwa.

W czasie swego pobytu w Rzymie min. Gromyko (o czym pisaliśmy) wiele uwagi poświęcił np. propozycji zwołania konferencji w sprawie bezpieczeństwa europejskiego, którą to myśl w grudniu 1964 r. wysunęła Polska.

W ostatnich dniach w nie kończących się spekulacjach zachodnich o czerwcowej wizycie prez. de Gaulle'a w ZSR, komentatorzy do tematu tego powracają bardzo często, jakby

obawiając się, że on właśnie będzie omawiany w Moskwie.

Reuter doniósł więc, że zwołanie konferencji ma być przedmiotem dyskusji na sesji Rady NATO. Komentatorzy przypominają w związku z tym, że W. Brytania i Dania do idei konferencji odnoszą się jak najbardziej przychylnie, a Stany Zjednoczone i NRF wy kalkulowały, że zdarza się okazja by wykazać, iż NATO jest nie tylko organizacją o charakterze militarnym, lecz również „czynnikiem zmniejszenia napięcia między Wschodem i Zachodem w Europie”.

Tak czy inaczej — propozycja utrzymania się na porządku dnia, a amerykański magazyn „Atlantic” wyrokuje nawet, że „Europa Środkowa może być jedynym obecnie rejonem świata, w którym idea strefy bezatomowej może doczekać się rychłej realizacji”.

Bylibyśmy bardzo radzi, ale niestety na razie nie tego optymizmu nie uzasadnia.

Po tych kilku rozważaniach na temat problemu: rozbrojenie — przemieśmy się do Wietnamu Południowego, gdzie trwa „wojna w wojnie”. Mam oczywiście na myśli ostrzy konflikt: gen. Ky — buddysty, którego nowym elementem są samobójstwa mniczów i strajki głodowe. Każdy dzień tego konfliktu jest przystoiowym gwałtem do trumny obecne-go reżimu sąjogistkiego, ale także godzi w wietnamską politykę Johnsona.

W ub. tygodniu zarówno w komentarzu, jak i „Kronice tygodnia” pisaliśmy o artykule „New York Post”, żądającym ustąpienia Rusa ze stanowiska sekretarza stanu. Dziennik ten zamieszcza obecnie listy czytelników, będące odzewem na artykuł. Otóż właśnie w tych listach uwidacznia się bardzo wyraźnie sąd Amerykanów o poczynaniach Stanów Zjednoczonych w Wietnamie. Obecnie polityce (choć adresatem wypowiedzi jest sam Rusk) zarzuca się, że wystawiła Stany Zjednoczone „na pośmiewisko”, że „nie ma cienia głędości”, że „prowadzi na brzeg przepaści wbrew woli i wiedzy obywateli”.

Wspominam o tym, ponieważ wydaje się, że właśnie obecna sytuacja na południu Wietnamu przetarla oczy wielu Amerykanom. Nawet ludzie z przyćmionym wzrokiem zaczynają dostrzegać, do czego prowadzi ich polityka Rusa, McNamary, Johnsona... Przystaje im odpowiadać rola „parowozu ludzkości” (czytaj: żon darma narodów), która — jak przyznał to w ub. tygodniu Rusk — od czasu II wojny światowej kosztowała życie 165 tys. Amerykanów.

Wreszcie w dzisiejszym komentarzu chciałbym zwrócić uwagę na Indonezję, która — wszystkim na to wskazuje — zamierza w najbliższym czasie radykalnie zmienić swą politykę zagraniczną. Za wiedzą i zgodą Sukarno, czy też nie, rozpoczęto tę zmianę od wysłania misji „dobrej woli” do Malajzji, nie wykluczając jej uznania.

Równocześnie obecny wicepremier Indonezji — Buwono oświadczył, że polityka zagraniczna tego kraju oparta zostanie na „realizmie, logice i współpracy”, w odróżnieniu od uprawianej przez poprzednie rządy — „irracjonalnej i nieuwzględniającej konsekwencji”.

Co będzie to oznaczało w praktyce — zobaczymy. Na razie do zagadki indonezyjskiej możemy dodać nowy element.

W. SEAWSKI

Kronika TYGODNIA

Według oceny brytyjskiego stowarzyszenia przedstawicieli kół gospodarczych prowadzących handel z Chinami Ludowymi, produkcja przemysłowa ChRL w roku ubiegłym wzrosła o przeszło 20 proc. Chiny wydobły okolo 9 milionów ton ropy naftowej, a w związku z rozwojem nowych zagłębli naftowych będą one w stanie w niedługim już czasie przystąpić do eksportu ropy.

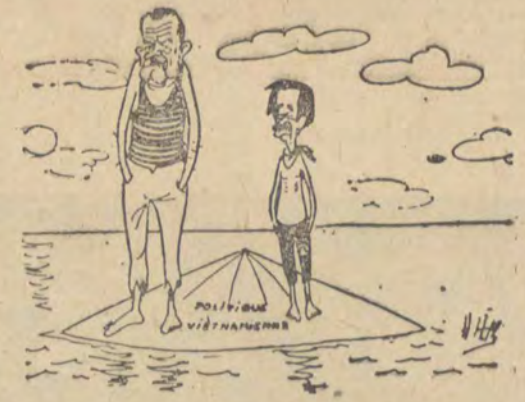
Były wysoki komisarz amerykański w Niemczech zachodnich, a obecnie doradca prezydenta Johnsona, John McCloy nawiazuje do stanowiska Francji wobec NATO powiedział „Ponowne wprowadzenie podstaw nacjonalistycznych do Europy zagraża utrzymaniu pokoju. Nacjonalizm stwarza nacjonalizm... Możliwe, że największą troską jaką wywołuje postępowanie Francji, jest ponowne zarazienie Europy nacjonalizmem”.

Dzienniki amerykańskie nie bez niepokoju notują wzrost nastrojów niezadowolenia wobec sprawującej w Brazylii władze armii. W ciągu ubiegłego roku koszty utrzymania w tym kraju wzrosły o ponad 45 proc. Perspektywy br. są pod tym względem równie ponure. Ekonomiści obliczają wzrost kosztów utrzymania o ponad 55

pujące słowa padające ze sceny „armia nie może uchrońić was przed głupotą”.

Kolejowy transport Bułgarii przechodzi intensywne modernizację. Do 1970 roku na wszystkich niemieckich liniach kolejowych mają być używane lokomotywy Diesla i elektryczne.

Szwedzka komunistyczna



Poczekajmy, może ktoś się nawinie

organizacja młodzieżowa „Młodzież Demokratyczna” postanowiła wystosować list do

nie do muzeum przemysłowego, tym skuteczniej będziemy mogli skoncentrować nasze siły na wykonaniu zadań stojących przed gospo-

W wywiadzie prasowym, wicepremier ChRL Czen I oświadczył, iż USA czynią przygotowania do wojny agresywnej przeciwko Chinom. Wcześniej czy później — dodał Czen I — dojdzie do „poważnej próby sił z imperializmem USA. Starcie to sta je się nieuniknione”.

Nieprzewidziane skutki wywołał pokaz nowego filmu angielskiego z dreśczykiem w mieście Hyfon. Na pierwszym seansie zemdlało 23 widzów, w tym 2 kasjerki kina. W tej sytuacji administracja postanowiła zainstalować w hallu kina stanowisko pogotowia ratunkowego.

Przed amerykańską senacką komisją spraw zagranicznych prowadzącą przesłuchania na temat konfliktu wietnamskiego zabrał głos profesor psychologii dr Jerome Frank. Według jego opinii konflikt wietnamski nabrał charakteru ideologicznego na wzór dawnych wojen świętych. Podjął to za sobą groźne konsekwencje. Ludzi, którzy walczą o swe ideały, bardzo rzadko można zmusić do kapitulacji przy użyciu siły wojskowej. Teza, iż można zmusić ludzi do wyrzeczenia się ich ideologii przez zadawanie im bólu powinna być umarzona wraz z chrześcijańskimi męczennikami w starożytnym Rzymie.

Według danych węgierskiego ministerstwa rolnictwa, liczba członków spółdzielni rolniczych ulega nadal zmniejszeniu. W roku ub. było 20 tys. członków. Przewidywany jest spadek do 14,4 proc. w roku 1967.

W ostatnim dziesięcioleciu Rumunia osiągnęła stopień wzrostu produkcji przemysłowej należącej do najwyższych w świecie. W ciągu planu 6-letniego, który zakończył się w roku ubiegłym, przeciętny wzrost rocznej produkcji przemysłowej wyniósł 14,4 proc.

Prokurator generalny Indonezji podał do wiadomości, iż w więzieniach przebywa ok. 100 tys. członków i działaczy KPI. Oficjalnie czynnik indonezyjskie przyznają, iż ok. 100—200 tys. członków KPI poniosło śmierć z rąk armii, bądź prawicowych bojowników.

Jak pisał „New York Times” najwyższy wskaźnik obrotów handlowych pomiędzy krajami socjalistycznymi, a Europą zachodnią przypada na Niemcy zachodnie. Drugie miejsce zajmuje W. Brytania, następnie Francja i Włochy.



Jeden z dzienników w sztyngtonskich rozpoczyna swą relację z Brazylii charakterystyczną sceną. Publiczność na przedstawieniu sztuki Gorkiego „Wrogowie” w teatrze w Rio de Janeiro przyjmuje gromkimi oklaskami nastę-

SMFD i do innych organizacji młodzieżowych z propozycją nawiązania kontaktów z FWN Wietnamu Południowego celem przedyskutowania sprawy wysyłki do Wietnamu ochotników. Zdaniem „Młodzieży Demokratycznej” między obecną sytuacją w Wietnamie, a sytuacją Hiszpanii przed 30 laty istnieje duże podobieństwo, w związku z czym aktualny staje się problem twórczenia „brygad międzynarodowych”.

W amerykańskich środowiskach uniwersyteckich mówi się, że FBI (tajna policja), prowadził od ubiegłego roku super tajne kartoteki profesorów wyższych uczelni, w których odnotowywane są poglądy polityczne kadry naukowej a zwłaszcza jej „lojalność”.

Jak podaje Agencja France Presse do Paryża przybył główny dyrektor cywilnych linii lotniczych ChRL w celu przeprowadzenia rozmów nt. uruchomienia linii lotniczej Paryż — Szanghaj a być może również Paryż — Pekin.

W dzienniku „Izwestia” ukazał się artykuł pt. „Radcy, administracja, kontrola”, podejmujący problem pewnych złych tradycji hamujących rozwój inicjatyw w rad, jako instytucji nadzórnych w stosunku do organów administracji państwowej. „Jeżeli deputowani i radni będą występować tylko w roli pomocników aparatu, łatwo mogą stać się zwykłym jego dodatkiem... A tak właśnie tu i ówdzie się dzieje. Niektóre komitety wykonawcze wykorzystują radnych w charakterze „urzędników do specjalnych poruczeń...” Czy należy się potem dziwić — kontynuuje autor artykułu, że autorytet reprezentantów narodu jest czystokroć niski, że władze administracyjne nie liczą się z zaleceniami radnych?”

W Kolumbii ukonstytuował się Komitet Obrony re-

W SPRAWIE POMYSŁOWOŚCI

I tym razem nie zawiadła nas Warszawka, poczciwa, zatroskana o sprawy najważniejsze, bezinteresowna, prawdziwy wzorze, który należy polecać tak zwanej prowincji do naśladowania. W ostatnim numerze „Kultury” Jan Szelaż zastanawia się nad jednym z podstawowych problemów naszego narodowego bytu. „Uogólniając rzecz filozoficznie i historyzoficznie — powiedział Szelaż — powiedzić mogę, iż jednym z nieśczęść narodowych naszych było nie to, żeśmy wiele razy przegręwali, ale to żeśmy przegręwać nie umieli”.

Moene słowa, magisterskie, odkrywcze i ogromnie wesołe. Racja naszego bytu polega na przegranych, musimy to wreszcie zrozumieć — na przegranych, a nie na wygranych. I któż nas najlepiej ku wielkim przegraniom powiedzie? Kolarze, naszych sześciu zdrowych chłopaków poprowadzi naród. Szelaż pisze: „Rzecz nie polega na tym, że zdobywamy się, żeby raz na rok puścić w daleką drogę sześciu dobrze odżywionych i dobrze wytreningowanych facetów. I żeby nam pokazali, że potrafia na tym czy owym etapie czy w ogólnej klasyfikacji niele wypaść. Ale po winniśmy wymagać od nich, żeby pokazali narodowi temu, który stoi przy drogach, przy szosach, na ulicach oraz siedzi na stadionach i przy telewizorach, jak nowoczesny Polak potrafi przeciwstawić się swego charakteru, upór i opanowanie wszystkim przeciwnościom”.

A więc jednak kolarze. A dlaczego akurat kolarze wyprostują ścieżki naszego narodowego bytu? Jan Szelaż przeczytał szereg wywiadów prasowych, których udzielali kolarze. Wszyscy narzekali na wyczerpanie, piekielne zmęczenie, pecha, słabości, brak szczęścia, upadek sił, brak zapatu do walki. Istotnie, tylko od takich można się nauczyć sztuki przegrywania. Chociaż, jak wiemy, ci narzekacze, o mało co nie wygrał całego tegoż tegorocznego Wyścigu Pokoju. Szelaż także to wie, pisze więc, żeby zostało jak jest, tylko narzekać nie wolno. No, bo i hutnicy zaczęli nam narzekać i budowlani i marynarze i młynarze, piekarze, bednarze i będzie szło jedno narzekanie po drugim. Trzeba się nauczyć przegręwać bez narzekania.

„Życie Literackie” zwraca uwagę na inny wyznalczek czysto warszawski. Tadeusz Robak opu-

bliował ogromnie interesujący artykuł — „Mówi Warszawka. A wszystkie rozgłosnie polskie?”. Nie mówią, one ledwie dyszą. Oczywiście, dla ogólnego dobra Warszawki. Robak w bardzo prostych słowach pokazuje ów przedwzrost mekchanizm, który na oko przedstawia się tak, jakby cały kraj wszystko mógł, pod warunkiem — rzecz prosta — że tylko Warszawka może. No, bo my, proze państwa, mamy jedną z najbardziej gestych sieci stacji radiowych, szesnaście na nie tak znowu wielki kraj, a Włochy tylko cztery, Anglia ledwie sześć stacji. Góra nasz Prawdźwie demokratyczna decentralizacja z tym wszakże specjalnie polskim akcentem, że Warszawa robi 5/6 całego programu krajowego, a pozostałych 1/6. Mamy tedy stan idealny — absolutna demokracja widoczna w zestawieniu z krajami kapitalistycznymi i absolutna hegemonie naszej drogiej i niezawodnej Warszawki. Jest to hegemonia za honoraria z reguły dwa razy wyższe od reszty.

W związku z tą pomysłowością, której zazdrościmy tak bardzo Warszawce, mielibyśmy skromną propozycję. My tu też mamy głowy i czasem sobie o tym, lub owym myślimy. Pomysłiliśmy więc, żeby tytułem próby zarządzić w kraju taką rzecz: zamienić honoraria. Znaczący dać Warszawce to, co za opowiadanie radiowe, czy drukowane w prasie otrzymuje np. pisarz w Łodzi, jemu zaś dać honoraria stołeczne. I tak w skali całego kraju. Budżet narodowy nie na tym nie ucierpi, przetasuje się trochę, ale nie ucierpi, co najwyżej powstać mogą pewne oszczędności. I co jeszcze może się stać? Może nastąpią powroty synów mar notrawnych na prowincje, a może Warszawka nauczy się przegręwać, o co tak bardzo się marwi Jan Szelaż? No, bo my umiemy przegręwać, my z peryferii, z prowincjonalnych pism i rozgłośni, co przeciwko znaczy dwadzieścia lat jednego i tego samego, prawda?

Wienbaranowicz

RANGA ŁÓDZKICH UCZELNI

Redakcja „Odgłosów” zwróciła się do Rektorów: Uniwersytetu Łódzkiego, Politechniki Łódzkiej i Akademii Medycznej z prośbą o wypowiedź na temat osiągnięć naukowych łódzkich uczelni i ich perspektyw rozwojowych w okresie najbliższych lat.

W bieżącym numerze publikujemy wypowiedź Rektora Akademii Medycznej, Pana Profesora dr Mariana Stefanowskiego.

Przysłowicie powiedzenie, że „nie od razu Kraków zbudowano” można z powodzeniem zastosować do budowania nauki. Wprawdzie wznosi się obecnie bardzo szybko niebotyczne budowle znacznie wspanialsze, rozleglejsze, potężniejsze niż były budynki starodawne. W liczbie tych budowli znajdują się piękne gmachy, przeznaczone dla instytucji naukowych.

Przyśłowio powiedział, że „nie od razu Kraków zbudowano” można z powodzeniem zastosować do budowania nauki. Wprawdzie wznosi się obecnie bardzo szybko niebotyczne budowle znacznie wspanialsze, rozleglejsze, potężniejsze niż były budynki starodawne. W liczbie tych budowli znajdują się piękne gmachy, przeznaczone dla instytucji naukowych.

Odnosi się to szczególnie do wyższej szkoły medycznej, która poza prowadzeniem pracy naukowo-badawczej jest obciążona rozległą działalnością dydaktyczną, a ponadto świadczyła usługowo- leczniczymi dla ludności. Należy też zważyć, że problematyka badawcza Akademii Medycznej, jako instytucji skupiającej kilkadziesiąt katedr, z których każda reprezentuje inną gałąź wiedzy medycznej — nie może ograniczać się do ledwego wąskiego zagadnienia, lecz musi obejmować szeroki i niezmiernie różnorodny zestaw badań naukowych. Możliwość prowadzenia badań na współczesnym poziomie nauki w jakiegokolwiek dziedziny wiedzy medycznej wymaga posiadania złożonej i kosztownej aparatury, a istotnie wielkie osiągnięcia uzyskuje się głównie w wyniku zespołowej współpracy wie...

z okresem przedwojennym. Mamy obecnie 11 Akademii Medycznych (łącznie z WAM), 13 Instytutów Naukowych Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, dość liczne zakłady i pracownie PAN. Wzrosła wielokrotnie liczba samodzielnych i pomocniczych pracowników nauki. Jeśli dodamy do tego ogromne pomnożenie publikacji w zakresie medycyny i równie wielkie rozszerzenie „asortymentu” tematów prac naukowych — to jednym z wielu wniosków, jaki się z tych stwierdzeń nasuwa stałe się zrozumienie, że dokładne określenie pozycji czy też rangi naukowej naszej uczelni w skali krajowej — musiałyby być poprzedzone drobiazgową, wnikliwą analizą, porównującą poziom i wartość naukową naszych publikacji z analogicznymi osiągnięciami wspomnianych instytucji i to w zakresie każdej poszczególnej dziedziny nauki medycznej.

Proszę mi więc darować, że w krótkim doniesieniu muszę się ograniczyć raczej do sumarycznej oceny.

Jeśli za pośredni miernik rangi AM jako instytucji urzeczającej twórczość naukową można uznać liczbę 5.400 publikacji, zrodzonych w jej łonie, przyznanie jej przedstawicielom 8 państwowych i 6 łódzkich nagród naukowych, wykształcenie 102 docentów i 430 doktorów — jeżeli za taki miernik wolno poczytywać współpracę z naukowymi ośrodkami zagranicznymi, nadanie wielu profesorom godności członka honorowego krajowych i zagranicznych Towarzystw Naukowych oraz czynny udział licznych pracowników w międzynarodowych i ogólnokrajowych zjazdach i konferencjach — to należy sądzić, że młoda nasza uczelnia zajmuje miejsce poczesne, ustępując pierwszeństwa zaledwie 2 lub 3 Akademii Medycznym.

Wspomnę zatem tylko o niektórych osiągnięciach, które stanowią istotny wkład do nauki, uznany w kraju i za granicą. Wymienie badania nad układem limfatycznym czoła wieka i uacyntowaniem narządów, badania biochemiczne nad funkcją biologiczną kwasów nukleinowych, izolowaniu białek ładkowych i badania kompleksów związków drobno cząsteczkowych, a dalej histochemię czpne badania nad aktywnością enzymów w procesach wzrostu, rozwoju narządów, w dojzeniu ran i procesach oddychania tkankowego.

Wspomnę prace o biologii pasożytów człowieka i ich zwalczaniu, badania nad neurosekrecją w układzie nerwowym autonomicznym, nad regeneracją nadnercza i nad patomorfologią gruczolów dokrewnych, osiągnięcia w dziedzinie patomorfologii kruczycy, histopatologii czpnej diagnostyce guzów mózgu, zachowania się hodowli komórek pod wpływem hormonów, badania nad wariacją odżywcza białek.

Z zakresu medycyny klinicznej

wymienie powszechnie znane osiągnięcia w kardiologii, budowę nowoczesnego aparatu do operacji na otwartym sercu, badanie nad rozpoznaniem chorób serca metodą wektografii, osiągnięcia w hematologii, w badaniu chorób nerek, a dalej badania nad cukrzycą, nad neuroinfekcjami, nad chorobami trzustki. Nowe przyzwycię do leczenia choroby wrzodowej żołądka i dwunastnicy przyniosły badania kliniki internistycznych i chirurgicznych. Rozwinęto dziedzinę ginekologii i położnictwa, dziedzinę leczenia gruźlicy narządu moczowego. W zakresie neurochirurgii, wymienie badania nad morfologią możliwych dróg obwodnego krążenia krwi do mózgu. Przeprowadzono poważne badania nad nerwicami, nad stanami ześcisłowymi szizofrenii. Wypada wymienić osiągnięcia w badaniu metabolizmu wieku dziecięcego, patofizjologii biegunek dziecięcych, w badaniu aktywności enzymów deoksyrybonukleinowych u dzieci z nowotworami wrodzonymi, wreszcie osiągnięcia w badaniach nad patofizjologią i patofizjologią zezą, badania nad chorobami pechoryzowymi skóry.

W dziedzinie nauk stomatologicznych należy podkreślić osiągnięcia badawcze z zakresu reaktywności tkank przyzębia, zakażenia ogniskowego oraz osiągnięcia w kompleksowym leczeniu rozszczepów podniebienia i stosowania tworzyw sztucznych w operacjach plastycznych twarzy.

W dziedzinie nauk farmaceutycznych cenne są prace fitochemiczne, badania dotyczące identyfikacji składników dotąd nie opisanych z roślin krajowych, prace nad zastosowaniem tiocetamidu w leczeniu zatrucia metalami, prace nad mechanizmem wchłaniania trucizn przez skórę. Opowiadano mi też, że w innej wsi młodzi wzięli sobie ślub tylko cywily, czyli na kocia warę, i co z tego wynikło — że właśnie... nic nie wynikało, ludzie popłuli trochę ze zgorzaniem, a potem na weselu wszyscy sąsiadzi przyszli z własnym poczestunkiem. Opowiadano mi też, że w pewnej osadzie miejscowi obywatele wystąpili przeciwko samemu biskupowi, bo biskup chciał im nowego księdza zabrać, który okazał się człowiekiem a nie dziejopisem, za poręby ani śluby ze skóry nie zdierał. Więc, jedyным słowem, coś się w naszej zapadłej, zabitej deskami prowincji budzi, jakiś powiew nowego powietrza wieje, jakiś odwilż, niłka jeszcze, ale zawsze odwilż.

Nasze województwo posiada aż dwadzieścia jeden miast i osiedli, nie będących powiatami, oraz siedemnaście osad wiejskich o zabudowie zbliżonej do miejskiej. Trwa obecnie walka o zmianę schematu i pejzażu i życia. Walka objęta tzw. planem aktywizacji przemysłowej, kulturalnej i oświatowej. W 1959 r. władze województwa opracowały szeregowy program rozwoju tych miast. Intensyfikacji ich życia. Poza wymienionymi, program objął również i siedziby powiatów: Wieluń, Wieruszów, Łask, Pabianice, Poddebiice, Brzeziny, Rawe Mazowieckie. Sytuacja była bowiem zła a nawet bardzo zła: notowano stały, silny odpływ ludności do większych ośrodków miejskich. Określając to mniej kurtuazyjnie: ludzie po prostu — a zwłaszcza ludzie młodzi — uciekali do Łodzi i wszędzie tam, gdzie perspektywy życiowe determinował krag większy i ciekawszy niż kontuar baru gospody „Pod Smokiem”, gdzie mogli znaleźć lepszą pracę, możliwość urzędowania się i pełniejszej w związku z tym stabilizacji życiowej.

Co zrobić, aby zatrzymać uciekających? — Dać im inne warunki życia, stworzyć perspektywę na miejscu. Więc przeznaczono nieba-

Z teki WACŁAWA KONDKA



Fabryka Gajera

re u ludzi, udoskonalenia w technologii leków.

Wśród prawie 300 prac o bardzo różnorodnej tematyce bliżej zwianej ze specyfiką zdrowotną miasta i rejonu, wypada wspomnieć o badaniach nad chorobami zawodowymi, higienie cieżarnej kobiety pracującej w przemyśle, o badaniach nad krzywicą i żywieniem dzieci z okregu łódzkiego, opracowanie normogramów rozwoju dzieci łódzkich, o badaniach nad psychozami wywołanymi wpływem dwusiarczku węgla.

W tej grupie mieszczą się cenne prace z zakresu historii medycyny i farmacji, odnoszące się do rejonu łódzkiego.

Jeżeli chodzi o najbliższe perspektywy rozwoju badań naukowych w naszej uczelni, to należy pamiętać, że zarówno Łódź jako akademicki ośrodek nauki jak i nasza uczelnia — jako instytucja naukowa — nie rozwinęły dotychczas całkowicie swych możliwości. Znajdują się jeszcze raczej na rozbiegu. Ale start był dobry, z wielką dynamiką rozwoju.

Wspomniałem na wstępie, że budowanie nauki wymaga spełnienia wielu warunków, aby mogła ona dobrze się rozwijać.

Do czynników sprzyjających dalszemu rozwojowi działalności naukowej należy zaliczyć przede wszystkim to, że w łonie Akademii wykształciło się i dojrzało liczne grono młodych, zdolnych, zamilowanych w nauce pracowników — stanowią oni skarb niemożliwy. Za nimi posuwają się ich młodszy kolekczy i nie zabraknie w uczelni wartościowych i chętnych do pracy adeptów nauki. Ważne jest również, że większość katedr posiada dokładnie sprzyjającą problematykę wiodącą

swych dociekań naukowych, co dozwala systematycznie zgłębiać badane zagadnienia, ujmować je wszechstronnie i doskonalić metody badania. Z roku na rok podnosi się walor naukowy wykonywanych w katedrach prac. Cieszymy się również, że pomimo bardzo znaczących przeszkód nawiązują się ściślejsza współpraca między katedrami w badaniach naukowych.

Tym zjawiskom możemy tak do myślnie rzutować na perspektywy rozwojowe AM w zakresie pracy naukowej — przeciwwstawiają się niestety inne czynniki, które należy w porę usunąć, aby nie stały się przeszkodą, zagrażającą drodze do rozwoju uczelni. Można bez przesady stwierdzić, że jakkolwiek AM wyszła z okresu doraźnych improvisacji, to jednak znajduje się nadal w stanie prowizoryczności i nieukoniecznionej organizacji.

Jednym z wyraźnych wskaźników tego stanu jest rozproszenie placówek AM w 25 punktach miasta, od lewych od siebie o 6—7, a nawet kilkanaście kilometrów. Drugim wskaźnikiem są też warunki lokalowe i wyposażeniowe wielu klinik i zakładów.

Wynikają stąd postulaty o podstawowym znaczeniu dla przyszłości AM, a mianowicie postulat utworzenia ośrodka skupiającego na jednym terenie znaczną większość zakładów i klinik, a zarazem położonego w pobliżu osiedla studenckiego. Drugim postulatem jest uzyskanie jednorazowego zasiłku w wysokości 5-letniego limitu budżetowego, przeznaczony na zakup aparatury naukowej.

Szybkie zaspokojenie tych potrzeb usunie dręczącą nas obawę (nequid detrimenti Academia capiat) aby Akademia nie doznała szkody.

Dla uciekających wybudowano też 18 szkół podstawowych, 5 liceów ogólnokształcących, kilka szkół zawodowych. Nowe Miasto i Poddebice otrzymały szpitale. Rawa Mazowiecka, Lututów i Łyszkowice dostaly nowe domy kultury. Powstało Muzeum Ziemi Rawskiej. Wreszcie cały szereg pięknych ośrodków sportowo-turystycznych, że wymienię przystanek wodna w Sulejowie, hangar kajakowy w Uniejowie, stadion sportowy w Poddebicach, Kolarska, Rawle Mazowieckiej. Trzeba tu uzupełnić, że przy budowie pomagali w czynnie społecznym niedoszli uciekinierzy. Wartość czynów społecznych, wykonanych przez mieszkańców małych miast jest bardzo wielka — wyniosła ok. 38 mln złotych.

I chociaż tak z czystym sumieniem stwierdzić nie można, że realizacja programu aktywizacji w latach 1960—65 została załatwiona w stu i fluś tam procentach, to niemniej uczyniono pierwszy i bardzo skuteczny krok do zmiany schematu pejzażu i życia łódzkiej prowincji. Drugi i chyba decydujący krok przyniosła lata nadchodząca. Z 40 aktywizowanych miast i miasteczek, do dalszej aktywizacji pozostało jeszcze tylko 23 z 61 tys. mieszkańców. Na te miasteczka przypadnie obecna suma 440 milionów złotych. To jest dużo, a nawet bardzo dużo. Wystarczająco, aby plusquam perfectum przestał wyznaczać w nich bieg życia teraźniejszego.

PS. Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego w nowym planie aktywizacji przemysłowej przewiduje się dla Uniejowa, tak pięknego zakątka turystyczno-wycieczkowego (których w naszym województwie w końcu nie jest tak wiele) budowę stacji wody amoniakalnej? Żeby wyłuszczyć i wysawiczyć, urlopowiczyć i turystów? Amoniak, brrr!

EWA OSTROWSKA

Schemat na życie

Do niedawna jeszcze obowiązywał następujący schemat pejzażu prowincjonalnego miasteczka: niskie domy, kilka brudnych uliczek schodzących się w centralnym punkcie miasta — rynku, przy którym wszystkie najważniejsze urzędy, łącznie z radą narodową i gospodą ludową „Pod Smokiem” lub innym dziwnym zwierciem. A schemat życia małego miasteczka już zupełnie był prosty: marazm, marazm, i jeszcze raz marazm.

Taki schemat, pomimo użytego na wstępie czasu, obowiązywał wciąż na naszej łódzkiej prowincji. Chociaż tu i ówdzie pierwsze, niemiłe zmiany zwiastują wydanie zdecydowanej walki temu plusquam perfectum. Nie wystarczy jednak wprowadzić do prowincjonalnego pejzażu elementy nowoczesnej konstrukcji przemysłowej, jakies silosy-giganty, aby zmienić też i schemat życia prowincjonalnego. Silosy giganty przeobraziły Działoszyn, lecz już nie potrafiły nic zrazić przeciwko zatrzymanemu biegowi życia osady, wzniesionej do rangi powiatu — Paieczna. W nim, jak dawniej, szanowne krowy spacerują środkami głównej arterii, a najważniejszym szyldem reklamowym jest: WYBOR TRUMIEN POLECAM. Ale Sieradz, miasto o starych tradycjach, heraldycznej

historii, miasto do niedawna obumierające, zmurszałe, któremu dano „Sira”, nowoczesne zakłady dziewiarskie, odrodziło się w cieniu jej przestronnych, szklanych pawilonów.

Sa jednak w naszym województwie takie osiedla, takie miasteczka, do których ów przemysł, niosący wielką szansę wszechstronnego przeobrażenia, nie dociera. Bzdura byłoby bowiem, z punktu widzenia ekonomicznego wstawić do każdego obumarłego pejzażu silosy-giganty i wszędzie tam, gdzie murseje nie tylko tynk, ale gdzie i ludzie włoda zmurszałe życie. Czy w takim razie te miasteczka, drżące smutno w cieniu gospody ludowej „Pod Smokiem”, zalewające przy brudnym kontuarze baru swego odwiecznego robaka, skazane sa na śmierć z nudy, ze starości, z marazmu?

Pytanie właściwie retoryczne. Pewnie, że niełatwo bez specjalnych nakładów, bez wielkich inwestycji zrewojucjonizować oblicze prowincji. Pewno, że niełatwo zmieniać zastyłe przyzwyczajenia, tradycje, obyczaje. One są głęboko zakorzenione, wydrząziły sobie mocne fundamenty. Ale stał i stamtąd dociera przedziwne doprawdy wieści. Oto w zapadłej osadzie rewolucję spowodował wykty klub „Ruchu”, gdzie młodzież „niecne hulanki i grzeszne swawole wyczynia”. Pogadali, pogadali, namęli ozorami, opulul nowomodne wymysły, a potem — przyszli sami, ciekawi — jak to-to wygląda z bliska. A z bliska — żaden diabeł nie taki straszny, jak go malują. Opowiadano mi na przykład, że w pewnej wsi (już nawet nie w osadzie) po otwarciu niewinnego klubu „Ruchu”, zastanawiali się co poważniejsi obywatele, jakby zlikwidować te gorsza dobrze obyczaje nowość, może podpalić, może z widziarni — a potem — stare baby, podkasawszy spódnice, najpierw oberetas, później w takt twista podry-

WENUS PIANCĘ

Szewska pasja jako element konstruktywny występowała nie tylko w przypadku dr Judyma. Prężność kapitalistycznego przemysłu w Łodzi była wynikiem fabrykanckiej pasji, co J. Tuwim odmalował w następującym fragmencie prozy:

„Gdy fabryki łódzkie dostaną jakiegoś większego zamówienia, gdy zjawia się „konjunktura” — zaczyna tam świecić słońce, zakwitają bzy, słowiki turkocą w Helenowie, błoto mieni się spektaklnymi kolorami, a ospali Łodżermensche stają się Uebermenschemi, odzyskując gibkość ruchów, żywość spojrzeń, bystrość myśli. Pietryna wręca Gdynbergi, Grynfeldy, Grynsteiny i Goldbergi uwijają się po mieście jak opętani, wyskakuja za dorozek, wskakuja do kawiarni, telefonują, zapisują, telegrafują, jada, wracają, znowu jada, notują, obliczają: „Wynaf und ewancyk... zyben und drasyk... hundert achcyk... „gemacht, zrobione, to ja do niego zadzwonię, panie Hrynholz, leć pan do „Grand Café” ja pójde tymczasem do banku, halo, panie Goldberg, no co? halo panie Grynspan, załatwienie?”... Sto tysięcy skaczących, nieprzytomnych Gryn-macherów wprawia Łódź w drawki eszefetu. Ten febryczny stan łódzkiej ulicy ma fachową nazwę: „Ruszyło się”.

Nie słyszałem nigdy, by jakiegokolwiek wydarzenie wprowadziło współczesną administrację fabryk łódzkich w stan podobnego podniecenia, przejawy zaś pasji łatwiej dziś znaleźć w zachowaniu i obsłużonym kliencie handlu, czy pasażera tramwajów, niż w entuzjastycznie ludzi przemysłu. A jednak jest wyjątek! Czyjaś pasja zrodziła rzecz cenną i w skali tego kraju unikalną i o nich, o tej pasji i jej dziecięciu będzie tu mowa.

Chyba że cztery lata temu dostałem wiadomość, że w Zakładach Przemysłu Dzielarskiego im. M. Konopnickiej dokonuje się eksperymenty z jakąś niezwykłą maszyną, skonstruowaną w Polsce. Było to dość nieskomplikowane urządzenie do sklejania tzw. folii z tkanina lub dzianina. Z jednego końca spotykała się dzianina z puszystym pasmem importowanej poliuretanowej pianki, zawięrały ją znajomość przy pomocy importowanego kleju, z drugiego zaś końca wychodził gotowy laminat — pośledni gatunek dzianiny miał wygląd czegoś niezwykle szlachetnego.

Taki był początek. Próbowano szyc z tego ubrania — rozklejały się, niestety do prania walczyły do stadiów pierwotnych, to jest stawały się znowu dzianina (lub tka-

nina) i folia. Rzecz jednak godna była uwagi. Świat znał chyba ze czterech wytwórców laminatów. Turcyli poczęli przewozić do kraju rozmaite wyroby z pianki, no, choćby bułgarskie gabki po 80 zł (dziś krajowe po 18 zł), okazało się, że zastosowanie pianki jest bardzo szerokie a jej import — kosztowny. Już w 1964 roku stało się oczywiste, że potrzebna nam jest własna wytwórnia laminatów, domagał się tego głównie przemysł lekki. Wtedy przemysł chemiczny poczęł myśleć. Z myślenia tego zrodził się plan stworzenia wytwórni za jakieś 5 lat, pomimo że pianka potrzebna była już. I oto znana skadina postać — „Telimena” (Dom Mody) wznosiła w naszę, sięgnęła do biurka, w którym przechowywała koncepcje z Peterburka i podjęła się stworzenia wytwórni.

I stworzyła. Bez pomocy mózgowi elektronowych dało się obliczyć, że przy zaplanowanej produkcji 900 ton pianki rocznie, już w ciągu 10 miesięcy zwróciła się koszty importu maszyn. Skoro tak, to trzeba to zrobić. Niewiele inwestycji amortyzuje się w takim tempie. Przemysł chemiczny na to: „Być może. Ale przed upływem 5 lat niczego nie obiecujemy”. Szewska pasja!

W r. 1965 sprowadzono agregat wytwarzający piankę i skrawający ją na folie. Tegoż roku rozpoczęto normalną produkcję. Podkreślam: „tegoż roku”, ponieważ Czesi mają takie same maszyny od 2 lat a produkcję rozpoczął nie potrafił. Węgrom też się dotąd nie udało. Nam — tak. Bez względu na to, że w dziedzinie produkcji chemicznej wykroczyłi krawcy — jeśli określenie tym nie poczują się dotknięci energiczni ludzie z „Telimeny”.

Zakład produkcyjny mieści się w Rudzkiej, katem, na zapleczu zakładów włókienniczych. W jednym miejscu przestronnej hali (o wiele za małej na polskie potrzeby) — wzniesienie pod pałęczyna przewodów, które zbiegają się w jednym punkcie, tym właśnie, z którego pobytynie zaczyna ową piankę. Chemicj wybacza mi chyba to piekarskie określenie. usprawiedliwione przecież w jakiejś mierze, tym, co się tu będzie działo za chwilę.

Oto na wzniesieniu stoi człowiek, który w sposób genialny opanował umiejętność sterowania procesem: starszy mistrz Pośpieszyński. Niejedno nasiadujące z nami państwo dałoby za niego jednego, pociąg lub kilka pełnych poliuretanowej pianki. Ale nikt by się na taką transakcję nie zgodził, bo po pierwsze — Pośpieszyński jest bezcenny, po drugie — pociąg złożony z 75 wagonów zawiera zaledwie 100 ton tego lekkiego materiału.

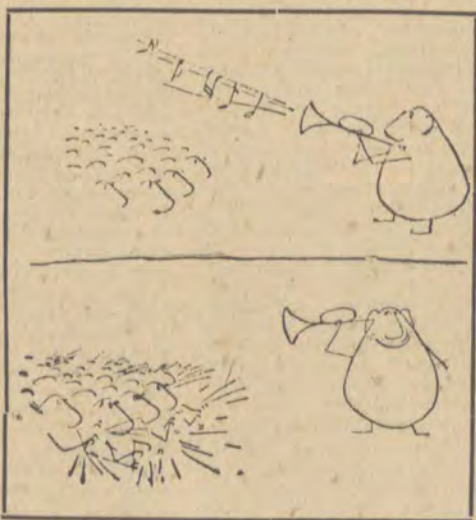
Mistrz przekreca co chwilę jeden włącznik, lub naciska jeden guzik, a przyrządy, lub zielone lampki meldują o gotowości poszczególnych składników. Podstawowe dwa to desmofen i desmodur (zwany też toluileno-dwuwielocjanianem), do nich dojdą inne, grające rolę aktywatorów i zaczynają się w dół gigantycznego bochenka. Bochenek upieczy się sam i sam powędruje w kierunku magazynów, ale ludzie nim sterują. Trzeba więc zabezpieczyć ludzi przed oparami izocjanianu. Stąd — potrzebny system wentylacyjny, tak sprężony z aparaturą produkcyjną, że w razie „wysiadki” wentylatora wszystko automatycznie stanie. Oprócz tego aerozole rozlewają się w wodny neutralizujący truciznę, a w każdym pracownika na szyi — maska przeciwgazowa, na wszelki wypadek.

Na konsolce coraz więcej zielonych oczu i jedno oko czerwone, sygnalizujące najniższe obroty wentylatora. Zgaszenie, gdy wszystko ruszy. Sama produkcja — to minuty. Przygotowania trwała godzinami — od przygotowań zależy wszystko, a w s z y s-

tko — to odpowiednie proporcje składników i odpowiednie parametry, dziesiątki czynników, które muszą być idealnie zrządne, by wszystko... grało. Na dobra sprawę powinien tu pracować mózg elektronowy. Cate szezacie, że jest mały, ale znakomicie dobrany zespół ze znanstwem i pasją wykonujący swoją pracę. Wzdłuż transportera biega kierownik wytwórni mgr inż. Kieruczenko. Coś tam dokreca mechanik p. Mandriuk, to w tej to w owej części hali wyrasta wysoka postać zastępcy dyrektora „Telimeny” do spraw chemii, inż. Kasiora.

Zdaje się, że wszystko gotowe. Za chwilę z miesadła — to ów punkt wyściółowy aparatury — poleje się płyn, który się spieni, tworząc to, na co czekamy. Spłynię na do wyłożonego papierem koryta, w nim wyrównię i zastępnie w kształt — jak powiedziałem — wielkiego bochenka, tak uformowanem jego wysokości wynosi około metra, tyleż szerokość, a długość... kilkadziesiąt metrów.

Na podłame obok miesadła ktoś wnosi plik dokumentów. Każdy z nich stwierdza, że niezbędna jakaś część przygotowana została zakończona. Po ich podpisaniu ruszy produkcja. Mistrz Pośpieszyński ogląda się, czy wszystkie są na miejscach, nabiera tchu w pierś, naciska dźwignię. Huczy wentylator, z miesadła leje się gotowa ciecz, pokrywając dno wymoszczonego papierem koryta. Wprawiony w ruch transporter pociąga papierowe dno i papierowe ściany. Już po przebiegu metrowej drogi owa cienka warstwa pianki spuchła do 20—30 cm, zmętniała, po następnych metrze ma około 80 cm wysokości, po trzecim metrze to już ów weseźnli anonsowany bochen, który wydłuża się równomiernie, oddala od miejsca,



gdzie z miesadła wylewa się wciąż nowy płyn, gestniejący i rosnący. Człoto bochna dochodzi do miejsca, gdzie zaczyna się zdzieranie papierowych boków i papierowe-gno, bochen wędruje góly, biały, ku końcowi transportera, gdzie automatyczna piła podnie go na bochenki długości półtora metra a ręce ludzkie przeniosą go do dojrzałwni, gdzie się odleża dobie i utracą resztę trującego gazu. Minelo może z piętnaście minut i — jak to mówia — po krzyku. Gdyby hala była większa, można by tego robić od razu więcej, ale wiadomo, jak to jest z tą naszą przemysłowo-inwestycyjną koldrą, zawsze za krótka, by przykryć głowę i nogi jednocześnie. Doś powiedział, że w roku 1970 Polska będzie potrzebowała 3 tys. ton pianki rocznie, a zakładzik „Telimena” będzie mógł wykonać zaledwie 1000 ton. Główny kłopot to brak dojrzałwni. Mieści się w niej zaledwie 4—5 ton, na wyprodukowanie czego pracu-

je się zaledwie półtorej godziny, a zajmuję miejsce co najmniej przez dobę. Toteż aparatura nie jest wykorzystana racjonalnie, nie zarabia na własną amortyzację tyle, ile zarobić jest w stanie. Dyskutuje się problem budowy nowych zakładów, ale podobno dyskusja trwa już dłużej niż trwałaby budowa zakładu, a jednocześnie nie podjęto decyzji, gdzie budować — w Łodzi, czy poza nią.

Z dojrzałwni przewozi się bloki pianki na ulicę Jaracza 52, gdzie również w ciastnych, niewygodnych pomieszczeniach, zajmowanych dawniej przez jakąś fabryczkę, dokonuje się cudo, by wykorzystać piankę do ostatniego okrucchu. To już królestwo dyr. Ossowskiego.

Tu bloki mające kształt półtorametrowych bochnów zostają pozabawione węglów, by uzyskać kształt walca. Dokonuje się tego na wyposażonych w precyzyjne pilki aparatkach. Odpadki zostają troskliwie złożone z boku, wałek zaczyna się obracać a z jego powierzchni pada skrawa 2—3-milimetrowa warstwa, to właśnie ów laminat, owa pianka, w która wskakuje współczesna Wenus. Oczywiście po sklejeniu laminatu z tkaniną. To już rzecz powszechnie znana. Natomiast cudeńka dzieja się z odpadkami. Największe z nich zostają pociete na kształtki do mebli. Już nas nie będą nekąc pełne kurzu i moli warstwy płótna i włosia w fotelu czy tapczanie. Narzekaliśmy na brak uszerek do okien. Oto dyr. Ossowski pozbawił dom rodzinny starej wyżymaczki i „na jej bazie” skonstruował maszynę do ciecja wymiarowych uszerek. Takich konstrukcji nie robi się w krajach strefy dolarowej, bo tam odpadki wyrzucają. A u nas nie. Z mniejszych kawalków powstają gabki, estetyczne podstawki pod aparaty telefoniczne, dywaniki do łazienek, ściereczki do prania nylonowych koszul, ściereczki do zmywania naczyń, zewnętrzna część bloku, tzw. skóra stanowią znakomity materiał na ciepły futerał dla samochodowych akumulatorów — ważność tej propozycji docenił każdy kierowca, skoro zaś o samochodzie mówia, to wymoszczenie wnętrza wozu pianką może w dużym stopniu zamortyzować uderzenie w razie wypadku. Wreszcie — najmniejsze odpadki granuluje się, by nimi wypchać zabawki, poduszki, czy co kto woli.

Inż. Kasior, który z niejeden pieca bochenki pianki wyciwał, twierdzi, że mamy piankę znakomitą, trwałą, po sklejeniu można ją prać nawet w „Tri” bez obawy rozwarstwienia, że ubrania z laminatów luździe noszą po 3 lata bez reklamacji.

Wyżej szeroko wyluszczone zastosowanie pianki nie wyczerpuje zagadnienia. Wiemy, jak cennym surowcem jest u nas skóra. Ołóż zespół, w którym uczestniczył dyr. Ossowski opracował metodę rozwarstwienia skóry na trzy płaty, podklejenia każdego płatu folia i oto mamy ilość skóry w kraju — potrójona. Uszyto buty z takiej skóry i gdzieś tam ktoś chodzi w jednym bucie tradycyjnym, drugim ze skóry laminowanej, aby dowiedzieć, że ten drugi nie zniszczy się wcześniej, może nawet później.

W całym świecie a również i w Polsce istnieje tendencja wzrostu zużycia tkanin na fabryczną konfekcję. Jeżeli w Polsce w roku 1960 konfekcjonowano 41 proc. tkanin, to w roku 1965 zużyto 50 proc. na szycie ubrań tzw. gotowych. W USA w taki sposób zużywa się 91 proc. produkowanych tkanin. Tendencja powyższa również wskazuje na rychły i szybki wzrost zapotrzebowania na laminaty.

Obecne, skromne możliwości rodzimeli ich produkcji w „Telimenie” to wynik pasji zespołu wymienionych wyżej i niewymienionych z nazwiska ludzi.

O pasję powszechną prosimy Cię Panie.

Prze mylnik

Antek Ciemięga ma 72 lata. Jego twarz cała w wesołych, ruchliwych zmarszczkach — wydaje się mimo ogromnych wiechci siwych wąsów — twarzą młodego chłopca. Sprawiają to chyba oczy, stareze już, o zaczerwienionych i obrzękłych powiekach — a przecież w jakiś sposób młode, huncwate, suchawe i szelmowskie.

Te oczy — kryjące śmiech, wesołość, młodzieńcza skorość do zabawy i żartu — te oczy świadczą o żywiołowym temperamencie człowieka, który przez całe życie brał to, co mu los podsuwał, zawsze skwapliwie i zawsze z apetytem. Mówiąc inaczej — mój rozmówca, wiem, to nim padła pierwsze słowa — nie jest filozofem: ten działosiński Colas Breugnon afirmuje życie bez zbędnych rozstrząsań.

Siedzi więc Antek Ciemięga w zielonym ciemiu, patrzy na piękny widok z zadowoleniem gospodarza, któremu lato szychuje bogaty plon, nie sobie nie robi z towarzystwa intuza, który przysiadł obok na ławeczce. Nie takich się widywało w życiu! Optymizm — tak rzadkie zjawisko w naszych nerwowym, śpieszających gdzieś na łeb na szyję czasach — prawdziwy, wysokiej próby optymizm aż emanuje od tego 72-letniego młodzieńca. Życie jest piękne! Przyjemnie posiedzieć w

taki upał — tu, poza jego zasięgiem, pod cienistym okapem żywopłotu. Przyjemnie patrzeć na pałac w słonecznym blasku ośniewiający różową bielą swych nowych tynków. I przyjemnie pogadać, o, tak, po trochu o wszystkim: Wicz jak to było, panie Ciemięga w czasach, gdy nasiadowało się z Szylitami? Było i tak i siak — powiada Antek, łanczywie zaciągając się papierosem. — Różnie było. Raz dobrze, Raz źle. Zwyczajnie, jak to w życiu.

Mam swój plan tej rozmowy i nie chce słuchać tylko opowieści gdzieś kiedys słyszanych przez Antka. Antek ma 72 lata, jego pamięć sięga zaczarowanej granicy wieku — i z taką, i z siaka ltonacja zwanego wiekiem dwudziestym. U progu tego wieku, w latach przed pierwszą wojną światową, tu, w Działosynie, zaczęła się „epoca eteru”. Pamiętam, że aż do roku 1945 doli-na Warsz na tym jej odcinku była terenem pogranicza, stykiem różnych cywilizacji, rajem przemysłników, łowców grosza łatwego. Z Działosyna było ledwie parę mil do granicy, licho strzeżonej przez notorycznie przepkunyć strażników. I o tych sprawach — a przecież i wyobraźnia mówi mi, iż to historia warta zachodu — może mi dziś opowiedzieć w Działosynie tylko Antek Ciemięga, najstarszy w miasteczku przemysłnik i — jak twierdza niektórzy — no dziś dzień amator eteru. Ale czy zechce opowiadać? A czuje się w tej chwili jak myśliwy, który osacza cenna zdobycz. Czy jej coś nie spłoszy? Czy mi nie umknie?

Wice jednak — o taktyczny dziennikarski! — cierpliwie słucham — najpierw opowieści zastyszanych. Jak to kiedys bywało: że w pałacu za czasów Kościuski i Napoleona, uczy wielkie wydawał pan Myciński, a za każda płacić musiał handlarzom-dostawcom włoka lasu. A co to był za las! Najpiękniejszy w całej Polsce! Błły w ten las setki

stleker przez cały rok od świtu do nocy. — Ci co kupowali od pana prawo wyrebu, mieli swoich drwali, tutejsi nazywali tych drwali sybirakami. I mieli swoich flisaków. Na łakach pod mlynem leżały całe góry drzewa.

Mygły — (uwaga, czytelniku! czy znasz to stare piękne słowo, które zasłyszalem od Antka Ciemięgi? Sprawdziłem później w słowniku: „Mygły — stony okorowanych pní drzewnych, surowiec tartaczny”).

Wicz — mygły, wysokie jak domy. Wodniaki zbijali z pni wielkie tratwy i tak ten najpiękniejszy w Polsce las popłynął do Niemiec, na maszty, na budowe okrętów.

Ala to, co mi Antek teraz opowiada, to typowy przekaz. Trochę spamiętanego, więcej zastyszanego. Wyreb — choć trwał aż po lata dwudzieste — najbardziej grabieżczy charakter miał za czasów sławetnej „Spółki drzewnej” w osobach Bremera, Bergmana, Pręgara i nabywcę dóbr działosińskich — starego, chciwego Touwe Jakubowicza. Były to lata po powstaniu 1863 roku. Antek pamięta ich nie może. Jakubowicz zbankrutował w początku lat osiemdziesiątych. W roku 1882 małatek Działoszyn kupił od niego niejaki Szylit — a może cały klan Szylitów, ruchliwych — że użyje słów Antka — jak mrówki. Pałac, jego przybudówki, zabudowania gospodarze zamieniły się w mrowisko niebogaczy, pracowitych, handlujących czym ponadnie Szylitów, z którymi — znowu cytuję Ciemięge — żyć było w sasiedztwie łatwo: „Oni sobie — my sobie”.

Ostrożnie, z rzadka stawiając pytania, kieruje teraz rozmowę w wiadoma stronę. Ale najpierw jeszcze będzie o pałacowym parku. Park był już w tych odległych latach niemal całkiem wyrabany, po francuskim jego kształcie nie było chyba już śladów. W dziedzińście Antka trwały jeszcze wielkie, styczne buki. Żal było patrzeć, mówi Antek, jak szły — jeden za drugim

— na opal i na „palce” do drewnianych trybów mlyńskich. Żal było patrzeć, jak się to wszystko spyało w ruinę. Stał wprawdzie jeszcze ten wielki dąb...
To niemożliwe, mówię, dokumenty podają, iż zabrano go w roku 1883. Gdzie tam, ja go jeszcze pamiętam. Róśł jeszcze, jak byłem ot, taki — Antek wskazuje 5-letniego smyka, który pedzi łaką łaciata, czarno-biała koze. — Nie raz na ten dąb wdrapywałem się, wie pan, jak to zawsze smyk...
Doś kiryycznych wspomnień z dzieciństwa — myślę. — Pora mi zacząć... podstępnie pytam wicz, czy to Szylit handlował eterem. Antek nastroszył wasy. Kto panu coś takiego powiedział? — oburza się. — Szylity nie nie miały z eterem. Rakowski Jankiel, tak, ten to robił. To było już za Polski. A za najdawniejszych, moich czasów — Szylit Ajzyk. Ale Szylity? Nie, one się do tego nie nadawały.

Jesteśmy, dzięki Bogu, przy eterze, i ten temat rozmowy już chwycił. Już Antek z niego nie zejdzie. Wicz uwaga — długopis, notes i notujemy, szybko, uważnie.

ANTEK CIEMIĘGA OPOWIADA

Szylit Ajzyk, wysoki, barczasty, ubrany inaczej niż wszyscy Żydzi w Działosynie, z polska i z chłopca, staje w drzwiach chaty i czeka aż gospodarz zaprosi go do wiełcia. A potem schylny, by głowa nie uderzyć w niski strop, wchodzi na środek izby.

— Z Antka już tegi parobczak — mówi niskim, miękkim głosem i zaciera wielkie, długopale i niechotnie skłania głonę — Z Antka parobczak na schwał, aż przyjemnie popatrzeć...
Stara Ciemięgina zmiata ścierka zydel, podsuwa go nieoczekiwanemu gościowi. — Niech pan siada, panie Ajzyk. Czego Ajzyk sto? I co Ajzyka do nas sprowadza?

Pytanie jest formuła grzecznościowa. Wszyscy w tej izbie, i wszyscy w Działosynie wiedzą, co oznacza taka wieczorna wizyta. Ajzyk to pożądaný gość, to zwiastun dobrej nowiny.

I oto Szylit wsparty oburacz o stół, nachyla się ku gospodarzowi ponad miską z chuda, pieczoną brukwia — tym przysmakiem z przednówka — i mówi szepciem, bo o takich rzeczach lepiej mówić szepciem. Antek, choć to o niego chodzi siedzi skromnie pod ścianą, pełen wewnętrzного, radosnego niepokoju. W obecności Ajzyka czuje się zakłopotany, jak dziewczyna, po której przysłano swaty.

Pójdę — myśli. — Nie może być inaczej, pójdę, przecież wiadomo, jak Ajzyk przyszedł — i tak pod noc, w ciemnościach, żeby ludzie nie widzieli — wiadomo, co się sychuje. Podniecenie ma taki smak, jak przed biatka na weselu; i strasznie, i wesoło. Och, jak pięknie! Chciałoby się nie czekać, od razu posmakować, wiedzcie — co się zdarzy i jak się zdarzy?

Głos Szmla Ajzyka cicho buczy wokół filijacji nafilowej lampy, jakby do izby wleciał wielki komar. Antek chwile słucha, że przednówek, że głodny przednówek. Tak to i jest — wdycha Ciemięgina. Że o zarobek trudno. Oj tak, tak to i jest.

Teraz Ajzyk jeszcze bardziej przy-cicha: głos jego zatracna miękkość. — Wasz Antek, już silny chłop-taki na schwał. Niechby wicz ten wasz Antek coś zarobił, bo jest okazja.

Antek doznaje gwałtownej, prawie bolesnej ulgi: tak myślał, tak przeczuwał, ale przecież bał się, że Szylit chce może tylko z ociem pogadać? Jakówkę kupić? Ze mojem na boleści ojca kropie przynioł, by swa grzesna dusze oczyścić dobrym uczynkiem. Ale nie, nic z takich spraw, cieszy się Antek. Jest tak jak przeczuwał: chodzi o niego.

DREWNO LAMIE MÓWIĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

wiec deski na drugą stronę, popatrzył na glazkę drewno i zdecydowanie zaciął je kozłkiem. Z ciec układała się sylwetka architektoniczny tumskiej, która w początkach jej istnienia próbował obalić diabeł Boruta, ale siła mu nie stała i tylko na fundamentach pozostał ślad swoich pazurów. W miejscu, gdzie oblaty kosić, przeraźliwie czarnej, dał podpis: „Leczyca” i rok skreślił kozłkiem. 1957.

Był z siebie Kamiński prawie zadowolony po tej robocie, orientował się jednak, że żyje na świecie znaniec, który lepiej od niego ocenia, czy z zadania wywiązał się dobrze. Wstyd mu trochę dobiekał, ale nie zważając na stare lata, wybrał się do leczyckiego zamku, siędził muzeum, aby prace swą przedstawić pani Grodzkiej, której opowiadał kiedyś na wsi kilka podań o diable Borucie.

Wstyd mu było tym bardziej, że pani Grodzka go poznała, rozpytywała o wieś rodzinna Oraczew i o gospodarke, a dopiero później zacięła się tym, co przyniósł opiewanie w papier. Wyteżył cały swój chłopski spryt, i na oczekaniu zmógł, że znalazł te deski u jednego na wsi, co się przyjeżdżał tutaj wstydzić, jak to bywa u chłopów, ciekaw jest jednak, czy to coś waży, to by i inne rzeczy tego chłopu przyniósł, co sobie w drewnie struga i ośmieszają się w rodzinie.

Pani Grodzka zrobiła gwałt, chciała się zaraz ubierać i iechać do Oraczewa, wylumaczyl jej wiecej spokojnie, że to nie zda na nic chłop jest wstydliwy, do roboty się nie przyzna i musiałby wreszcie złać słowo, gdyżby jej podał adres.

— A waży to jest co? — zapytał nieśmiało.

Pani Grodzka bez słowa wyciągnęła 150 zł, kazała mu pokwitować i zaklinała, aby na chłopu wylumaczyl, żeby jeszcze co do muzeum przyniósł. Przrzekł jej wszystko i bojąc się, że go oczy zdradzą, wyszedł czym prędzej na leczycki rynek. Stare nogi niosły go ochocho, wiedział już bowiem, że to co zrobił jest jednak coś waży, za darmo pieniądze nie dała.

Od tego dnia takby się przeobraził. Chodził po wsi i wszukiwał kawałki drewna do obróbki, Zeromadził to wszystko w izbie i zasiał za stołem. Przyminał sobie, co jako tyci chłopak stępiał od dorosłych o diable Borucie, o dziejach, o czarownicach, przepowiadkach, świecznikach, i szukał dla tych legend, o których teraz wie, że były wymyślone, plastycznego wyrazu.

To wszystko opowiadał mi Kamiński na drodze nad sadzawkę, gdzie ustawił najważniejszy dokument swoich uczuć, chłopacki pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego, bo jest najpierw Polakiem, a dopiero potem chłopem.

Blotnistą ścieżką wzdłuż sadzawki stana ostrożnie pierwszy, wskazując mi drogę, a kiedy się zatrzymał, widzę wkomponowany w zwierzciadło wody postument z niewygodnym napisem: „Boże błogostaw Polacy”.

Kamiński tłumaczy: „To jest pomnik dla

wierzących i dla niewierzących. Na szczycie umieściłem słowińskiego Świętego Jana, wystruganego z drzewa lipowego, litery też są wycięte w drewnie. Blok płaskowca pochodzi z grobu zbombardowanego przez Niemców, przywoziłem go na podwórce parę lat temu i jeszcze parę lat musiało upłynąć zanim się odważyłem wkucie w nim orla bez korony, białego, w czerwonym polu, bo po raz pierwszy spróbowałem rzeźbić w kamieniu. Potem umyśliłem jeszcze umieścić obok stary herb Województwa Łeczyckiego i herb miasta Leczyca. Płaskowca wycięty był duży i było na nim jeszcze dosyć miejsca. Wtedy przyszedł mi pomysł wykuć w kamieniu woja z czasów Bolesława Chrobrego, jako tego Polaka, co przed tysiącem lat bronił naszej Odrę przed najazdem germańskim, obok wyrzeźbienie polskiego żołnierza z pepesza, bo i teraz trzeba twarzo stać na linii Odrę”.

Starec przerywa i łączy na wodę, w której odbija się pomnik. Nagle zaś, spoglądając na mnie, podejmuję głos energicznie i niemal wzbudzonym:

— Powiem panu, że taki, co nie uszanuje tego orla, albo tego Świętego Jana, to nie jest Polak, tylko Germaniec. A byli tu u mnie nare dni temu limuzyna facjs Niemcy z Hamburga. Ale ja Germancom swoich prac nie sprzedaje i nie pokazuje.

Stary miłknie cały poruszony. Z podwórka słychać głos radłowego spikera, który czyta wiadomości. Odchodzi nieco w bok, aby obejrzeć pomnik wystawiony Polsce przez chłopca Ignacego Kamińskiego, także z innej strony. Dostrzegam wykuta w kamieniu sylwetkę tury, z drugiej zaś strony jakaś nieokreślona postać w kamieniu.

— A to kto? — Pytam wskazując płaskowca.

— Oczy Kamińskiego ożywiają się.

— Pan to jest młody, to i nie może tego pan wiedzieć. A ja 43 lata żyłem pod zabarami. Wtedy to, ludowy dziennikarz Kazimierz Promień wydał drukiem elementarza dla samouków, z którego nauczył się czytać. Niedy nie widziałem tego wspomnianego człowieka któremu nałwiecej zawiadzlaem w swoim życiu, wyrzeźbiłem go z wyobraźni. Ale gdyby to zależało ode mnie postawiłbym jego pomnik w Warszawie. Krakowie. Łodzi, w największych miastach Polski.

Widac no Kamińskim, że jest wzruszony.

— Chodźmy na herbatę — ucina więc krótko i zbrywa oospiesznie moje zabrania, dlaczego pomnik ustawił w sadzawce. Wreszcie jednak daje się pociągnąć za język:

— Tak było najwgodniej.

— Najwgodniej?

— Ano, spuściło się wodę ze stawu, zrobiło cementową podmurówkę, ustawilo z pomocą sasiadów postument, skrocilo śrubami. Miałem zrazu zamiar wstawić to przy drodze, ale w gminie powiedzieli, że trzeba zezwolenia, to machnałem reką na biurokratów, bo nie lubię chodzić po urzędach. A tam w wodzie nikomu nie zawadza. Byli władze, obezraly, powiedzieli, że nawet niezgorzej tak stol. Niech sobie tak stol. Ja jestem człowiek orwaty, to mnie nie było stać na coś stronielskiego, a pomnik Polsce musowo musiłem ustawić, bo jaki byłby ze mnie Polak, jakbym nie postawił.

Prowadził mnie do pokoju w muirowanej chacie, gdzie w bibliotece za szyną stoi kilka jego ostatnich prac, wyobrażających różne wcielenia diabła Boruty. Każda z nich ma swoją historie, wyrzeźbiła je tesknota do lat młodości i wierność ludowej tradycji, która rozsiła po ziemi leczyckiej mnóstwo sadek o tym diable, co to wiele ludziom szkodzi, a najwiecej obcym, bo ze swoim wolal raczej wsodłyż.

Pokazują wiecej diabła z opowiadań, co to jak zakreślił, to drzewa z korzeniami potrafił wwrwać w czasie burzy: Borute

szlachca z wymalowaną szabla; Borute przebranego za chłopca w łapciach z powozem, który oomógł królowi wyciągnąć z błot karate, czemu konie podolać nie mogły; Borute błotnego z owadzimi skrzydłami, co latał nad moczarami i blwskiem ślepi wciągał ludzi w mokradła, wiele czartowskich wcieleń. Pokazuje też Dydke na słoniachych nogach i przelonice, która dzleci chodzące w szkole porywa, albo straszy, wreszcie dusze pokutna wiarołomnego jectmety, co źle chłonom granice odmierzał, lapówkę brał i teraz musi karę ponosić jako Świecznik.

Kamiński opowiada barwnie i żywo, nie potrafię oddać piórem bogactwa jego wywomy. Słowo Boruta wymawia ostrożnie i choć powiada, że to rzeczyć wymyślił ludzi, którzy wszystkie nainrostsze zjawiska interpretowali w cudowny sposób, widac po Kamińskim, że z tym Boruta miał już kiedyś do czynienia i woll go na wszelki wypadek nie dotykać, żeby czort nie zaczął szkodzić.

Dopiero na samym końcu udał mi się z niego wyciągnąć wiadomość, równie wzruszającą jak to, że małać lat osiemdziesiąt wyrzeźbił pomnik tysiąclecia państwowości

polskiej. To list, chropawy list chłopca zakochanego w swojej ojczyźnie, do rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Przepisuje ten dokument bez jakichkolwiek zmian:

„My, Leczyceanie mamy duzo wdzieczności dla Króla Kazimierza Wielkiego, Króla Chłopów i jeszcze do wspomniemy. Ja chłom i samom i rzeźbiarz ludowy zacząłem rzeźbić dopiero mając lat 75. Rzeźbiłem bar dzo duzo poszło za granicę i wyrzeźbiłem Kazimierza Wielkiego na upamiętnienie 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Prosiłbym wielmożnego Pana rektora o przyjęcie tak skromnej mojej rzeźby.

IGNACY KAMIŃSKI

12 lipca 1964 r.

Oraczew, pow. Leczyca”.

Potem odkładam notes i żegnam gospodarzy. Wychodząc rzucam jeszcze okiem na 1101 rozpoczęta właśnie rzeźbę Ignacego Kamińskiego. Mijając okna zauważam, że stary zasiał już do pracy. Ma jeszcze duzo do powiedzenia, a w tym wieku trzeba się jednak spieszyć.

KONRAD FREDLICH



Po odejściu Czarnego Ajzka matka płacze. Ale nie jest to gorzki płacz nieszczęścia. Po prostu wypadał napłakać — znów całkiem tak, jakby chodziło o wydanie córki za mąż. I po co to babskie łzy? Przecież już postanowione, choć nie bez targów. Stary Ciemięga sam by opowiedział, ale silnie starca. Przednówek głodno, amatorów na szmilkowskie ruble w wędzonym Działoszyńnie nie zbraknie. Wiecej zgoda, pewnie, że zgoda! Antek czuje dymie — Szmil przeleć może wziąć kogoś innego. Jak to powiedział „Zem jest chłop na schwał i sprytny. I z ocoziwej rodziny”. A to też waży w tym bandyckim Działoszyńnie.

Bywało ich zazwyczaj piętnastu, niedy więcej niż dwudziestu, tych szmilków łasych na szmilkowe ruble. Parobczaki — jak Antek — z wassem spiyacim dopiero, ale i gospodarze z Raciszyna, już niemłodzi, tacy, co ani rusz z kamienistego usoru nie mogą wvorać dosyć na cały rok dla siebie, żony i dzieciaków. Lub tacy, którym życie zatrzyły marzenia o dokonulonych bogactwach. Ci z wioski mieli swój odrębny obyczaj, trzymali się z osobna, nieufni, bojący się, by ich działoszyńniacy — wiadomo tacy są ci miastowi — nie okpił. A i chłopcy „z miasta” mieli swój obyczaj; strzeżli wo uważnie i zazdrośnie, instynktownie czując w nim jakby tarcian klanowy — „my przemysłnicy, my szmuklerzy...” Zanim wiecej wyruszyli na granicę, razem zachodzili do kościoła na sumo, lub na niesobór. Przed taką drogą nie wadzili pogadać z Panem Bogiem, trochę Go udobrucać. A potem kupa, popopu, dależe do karczmy pana Józefa Luchtera, drewnianej, szeroko rozpartej, przepasanej, o wielu izbach. Ten co szedł po raz pierwszy no eter, stawał zazwyczaj kwarcie wódki doświadczonym kompanom. Jeśli nie miał czym zapłacić — karczmarz Luchter, człek mądry i świadom co w trawie piszczy, da-

wał na borg, uczelwie, bez doliczania. Wiece na stół kwarła gorzały — okowity z którejś z wielulskich gorzelni i stonina i razowiak na zagrywku: a wszystko to na przednówek. Cóż dziwnego, że na borg było si łatwiej, niż za brzezecia gotówkę. I łatwiej jeszcze niż zwykłe wódka uderzała do głowy. A wtedy na jednej kawencie się zwykłe nie kończyło. Picie na wesoło i smutno, w strachu, ale i w radości, szło całe popołudnie, często cała noc. Rano zjawiali się ci z Raciszyna i wtedy wpiwszy jeszcze ostatnia kolejkę za pomyślność, trzeba było ruszać w drogę.

Wedrowała taka „komanda” szmilkowa — dwudziestu rostrych chłopów rozrżanych wódka i nadzieją zarobku — „szmuklerskim traktem” na przestrzał polami i lasami, omijając z daleka wioski Rudniki, Żytniów i Svrków. I tam, za Praszka pod wieczór, zmordowani ta daleka droga, a przecież dopiero na progu właściwej pracy, wyczekiwali noc.

Miejsce było zawsze to samo, znane dobrze tym, co już nieraz chodzili. Na wzgórku niewielki las o gestym poszcyciu — „gak” — tu na mechu i zeszlorocznym listowiu czekał ich wypoczynek. Niżej, w dolince, zygłakiem biegła srebrna struga, znacząc te wyznaczona przez zaborców polska — i dalej też przecięć polska, ziemia. A za strugą, na trzy rzuty kamienia, znowu wzgórze i czarny, młeczący, tajemniczy las. Ten las krył teraz przed strażnikami prawdziwe skarby.

Strażnicy zreszta — tak ruscy jak i niemieccy — chodzili tedy rzadko, i widać ich było w księżycuwa noc już z daleka. To prawda. I prawda, że jak Szmil powiedział „ryzyka żadnego dla was, co najwyżej dla mnie”. Ale przecież i prawda było, że jak szmukler kiedy za mało przepłacił strażę — a może po prostu dlatego, że nawet strażę musiwały się czasem wykazać, łowiacze przemysłników — wiece zdarzało się

i tak, że z zasadzki straż brała i towar i „niosków”, że strzelała do uciekinierów, że czasem nawet kogoś zabila. Cóż dziwnego, że leżąc w tym lasku, z oczami oślepionymi zachodzącym słońcem, w leku przed nieszczęciem, każdy powtarzał narzeczianom to dziecinne, wyuczone przez matkę modlitw — te w myśli tylko — to znów szeptem, do ucha temu, co najbliższe, grube, dla śmiechu i zabicia czasu, kawały.

Wreszcie, gdy noc już na dobre zgostniała, cicho, uważając, by sucha gałązka nie trzaśla pod nogami — ruszali gęsię, jeden za drugim, na tamtą stronę. Prowadził bywały, wyznaczony przez Ajzka przemysłnik, znający miejsce. Zmówiony dobrze ze Szmilem. Ten ci miał na owa noc nawet i ajzkiowa wielka srebrna cebule, bo godzina była z górą umówiona, wszystko musiało grać, jak u wielkiego księcia na manerach”.

Wice w dół, otwartym polem, aż do strugi, tak wąskiej, że można ją przeskoczyć. Cicho, ani pary z geby! I biegnie, w stronę granatowego, młeczącego lasu. Przewodnik był zawsze nieomylny — i oto zdyszali przystawali wśród drzew. Teraz lek, by się nie zgubić. A żandarml, strażnicy? Może Bóg da — Bóg czy szmilkowe ruble? — że będą dzisiajście nocny spali.

Z najgłębszych ciemności wychodziła wielka, czarna postać z fonnarkiem — ślepa lampka, która blysnawszy i tak dawała zbył mało światła, by ja mógł dostrzec jakiś pograncelny stróż-wartownik. Szmil nigdy nie nie mówił. Zamiał słów tego rece wszystko poprzedkowały, te rece o długich, silnych i zrecnych palcach. Antek pamięta ich dotyk jeszcze i dziś: „brał nas za ramie, prowadził, wyznaczał bańki. Były specjalnie zrobione, z jednej strony płaskie, z drugiej wypukłe, związane rzemieniem. W każdej chłupotało 10 kilogramów eteru. Trzeba było wziąć ten ciężar na ramie, Szmil poma-

gał ładunek zadać, jeszcze raz przechodził koło każdego, macał palcami ramie, dotykał twarzy i tak każdego poznawał w tych ciemnościach. Potem przewodnik ruszał pierwszy i pobukwał jak sowa. A my za nim. Szmil wracał inna droga.

Pielgrzymka wedrowała droga powrotna, o ileż już cięższa, aż do następnej nocy. Dwudziestu chłopów, każdy dźwigał po dwadzieścia kilo eteru: 400 kilogramów na jedną „komandę”. Ile razy do roku? Przez ile lat? Ajzkiowy eter, całe tony eteru — szły do aptek Kongresówki, docierały w dalekie kraje Imperium. Ale nim to się stało, trzeba je było donieść na plecach do Działoszyńna. Wracając, znow z dala od ludzkich sadyb, omijając szerokim łukiem wieś i miasteczka, do Działoszyńna „komanda” wchodziła zazwyczaj o północy.

Z Wiatrakowego Wzgórza, pojedynczo, „nioski” — chłopci pewni już swego zarobku, już myślący o tym, na co przeznaczycie tych pięć rubli wchodził w gaszcz domków żydowskich. Ajzki czekał ich na progu swej kamienicy, szybko odbierał od każdego bankę i w milczeniu wsuwał każdemu w dłoń srebrną pieciorublowkę. Nie było żadnych słów, żadnych rozliczeń, wszystko w milczeniu, choć tu już nikt nie obawiał się żandarma czy strażnika, bo synowie Szmila pilnowali w zaulkach, czy nie zbliża się ktoś obcy. A wiadomo, że ruble — „Wziatki” — Ajzki, tu, w Działoszyńnie, miały wielka, magiczna niemal moc.

— A ładunek dochodził do Szmila zawsze w porządku? Nikt z was nie dołał wody do eteru?

— Co też pan! — oburza się Ciemięga. — Po pierwsze, to myśmy byli sami wybrani doborowo, sami z porządnych rodzin. A po wtóre — raz coś takiego zrobisz, i koniec z zarobkiem. Czy to sie Żyd dały dwa razy oszukać. Wiece każdemu zależało na opinii.

— No tak — powiedziałam — rzezczywiście, może i nie oplacało się Szmila oszukać...

Zawsze chętny do rozmowy Antoni Ciemięga, lat 72, wasaty, wesoty i chytry, dorzuca do swych wspomnień uwagę korwuijaca: Ale od czego głowa, a? Rozumie pan? Nie? No to powiem tylko, że Ajzki był „zadowolony”, a nam nigdy nie brakło eteru. Zawsze człowiek miał ten i drugi literek w domu. A eter to jest zdrowy, nie to co wódka. I na żoladek i na watrobie. Pić tylko trzeba umieć, wiedzieć kiedy chuchać, wtedy i na oczy nie zaszkodzi — peroruje Antek, gesty



mrugając zacierwienionymi, bezczesnymi powiekami. — Wiece na lekarstwo literek trzeba było sobie odlać, byle sprytnie, tak, żeby Szmil nie był skrzywdzony, żeby uchwalił Boże, nie miał do nikogo pretensji.

A potem?

Antek przymyka oczy, opiera głowę o deski piotu. Na twarzy ma wyraz wielkiej błogości. Jego oczy półosięnie, jak u każdego, kto pił eter, widza odległe lata młodości, barwne lata pełne przygód i doznań.

— To były czasy — mówię z zachwytem. — Panie, czy pan wie, ile to było pięć rubli? Za pięć rubli człowiek carowi dorównał: i ziąd, i wypli, i sie wykochał. Ho, ho, pięć rubli, jakie to były wielkie pieniądze.

DZIEŃ NAJWAŻ- NIEJSZY

Dalszy ciąg ze str. 1

w dalszej części eseju ze stanowiskiem „słowiarzy” polemizować.

Drugi referent warszawski, Julian Rogoziński, był bardziej subordynowany, to bowiem, co wygłosił, można od biedy podciągnąć pod hasło „Polska poezja młoda i najmłodsza”. Pisze o biedzie, gdyż w istocie rzeczy Rogoziński operował przykładami jedynie z terenu stolicy, a i to nie całe, od dawna bowiem fascynuje go pewien dom przy ul. Mokotowskiej, gdzie miała siedzibę Orientacja „Hybrydy” przeważnie pieszczotliwie przez krytyka „wnuczętami”. Niedawno wpadła mi w ręce publikacja pt. „Post scriptum”, gdzie wszem i wobec ogłasza się rozwiązanie Orientacji, o której Marian Grześczak napisał z tej okazji, że nie była żadną grupą literacką, chyba gdybyśmy przyjęli, iż np. zbieranie się w nocy na dworcu Warszawa Główna w celu wspólnego picia piwa jest równoznaczne z związaniem takiej grupy. Trudno się oczywiście zgodzić z logiką Grześczaka zaprezentowaną w tamym artykule, ale jeszcze trudniej zgodzić się z Rogozińskim, który nie wyrzwał poza Warszawę. Był to w istocie rzeczy nie referat na temat sytuacji w poezji młodej i najmłodszej, a podzwonne dla Orientacji „Hybrydy”, tyle że wesole, bo Rogoziński ma poczucie humoru.

Z zamówienia dokonane przez organizatorów wywiózł się w całej pełni łódzki poeta i prozaik, Tadeusz Chróścielewski. Jego referat pt. „Łódzkie tradycje poetyckie” jest pracą pionierską i niemal źródłową. Szkoda tylko, że referent nie narysował swojej pracy problemowo, nie pokusił się o skonfrontowanie rzeczywistości historyczno-literackiej z sytuacją jaką dziś mamy w Łodzi, krótko mówiąc nie powiedział nic na interesujący przecież temat: co poeci dziś piszącemu „w złym”, czy raczej „trudnym” mieście dają balast tamtej tradycji. Miejmy nadzieję, że tak poszerzony referat Chróścielewskiego ukaże się drukiem w jednym z najbliższych zeszytów „Osnowy”.

A jednak, pomimo tych mankamentów, nie będzie przesady jeśli powiem, że na ten dzień, dzień Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, czekaliśmy długo. Nie tylko dlatego, że publiczność łódzka mogła zobaczyć i posłuchać Juliana Przybosa, Mieczysława Jastruna, Anatola Sterna i wielu innych znakomitych po-

etów, co jest na pewno szczególnie ważne w naszym mieście, gdzie rzadko przyjeżdżają, aż takie znakomitości. Jeszcze ważniejsze jest jednak to, że lokalizując Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi oddano sprawiedliwość miastu, w którym istnieje jedno z najsilniejszych środowisk poetyckich w Polsce. Działają tu przecież obok Piechala i Kasprowieca, tak silnie zrośniętymi z Łodzią, cały szereg poetów średniego i młodego pokolenia, że wymie nie choćby Loboda, Chróścielewski, Czarnego, Kosińskiego, Wiśniewskiego, Wawrzkiwicza, nawet nie siląc się na wyczerpanie całej listy twórców, którzy zasługują na uwagę. Już zresztą przed paru laty łodzianie zasygnalizowali renesans poezji w naszym mieście liczącymi nagrodami na ogólnopolskich konkursach na wiersz (przypomnijmy tu choćby nagrodę „Nowej Kultury”, dla Jarosława Rymkiewicza, poznańskie laury Wawrzkiwicza i Wiśniewskiego, gdańskie Frejdlicha, szereg wyróżnień Szargana). W powodzi tych sukcesów nikogo specjalnie nie zaskoczyło podwójne wyróżnienie Szargana pierwszą nagrodą na konkursach łódzkiego festiwalu. Na listę nagrodzonych wpisało się zresztą wielu innych poetów mieszkających w Łodzi, co także jest rzeczą zupełnie naturalną, jeśli się zna choćby tomiki poetyckie publikowane corocznie przez Wydawnictwo Łódzkie.

Wróćmy jednak do spraw bezpośrednio związanych z festiwalem. Przez pełne dwa dni sala Związku Budowlanych przy ulicy Piotrkowskiej przeżywała najświetniejsze chyba dni w swojej historii. Wdzieliliśmy w jej murach obok zasłużonych twórców najwykleszych kibiców literackich, którzy wpatrzni w zjazdową trybunę z ogromnym zainteresowaniem wysłuchiwali przemówień uczestników festiwalu.

Jako pierwszy zapisał się do głosu Józef Andrzej Fraski z Krakowa. Jego wypowiedź, zawierająca przede wszystkim dywagacje o turpistach (termin mody kilka lat temu) od razu podniosła temperaturę na sali obrad. Sprawozdawca warszawskiej „Kultury” Roman Sliwonik zauważył publicznie, że Fraski nie ma prawa zabierać głosu na temat referatu Sandauera, ponieważ w czasie jego wygłaszania spał (zdarzenie to przytaczam na dowód bezkompromisowości obrad). Krakowianin nie zmieszał się. Sprostował tylko, że to, co Sliwonik brał za sen, było najwykleszym przymknięciem oczu. Wedle jego własnych słów, Fraski zawsze tak reaguje, jeśli coś robi na nim wrażenie. Te uszczypliwości Sliwonika (chwyt swój sprawozdawca „Kultury” bez mała powtórzył następnego dnia), przydały obradom przyjemnego pieprzku. Mówcy kolejni pilnowali się bowiem, aby nie paść ofiarą własnych przejęczeń. Anna Pogonowska, Witold Wirpsza i Jan Spiewak podnieśli w swoich wypowiedziach sprawy zasadnicze dla rozwoju poezji polskiej. Szczególnie inte-

resującą przemawiał Jan Spiewak, który przypominał sylwetkę twórcą Stanisława Jerzego Leca, stawiając go jako przykład twórcy odważnego, zaangażowanego w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Nam, łodzianom, szczególnie miło było usłyszeć związanych od lat z naszym miastem Juliana Przybosa i Mieczysława Jastruna. Obaj ci najwybitniejsi obecni poeci polscy szereg sukcesów osobistych wiąże z naszym miastem. Julian Przybós wiele lat temu publikował na łamach biuletynu grupy Ar (Artyści Rewolucyjni) manifest poetycki związany z działalnością poetów spod znaku awangardy krakowskiej, Mieczysław Jastrun zaś debiutował w 1933 r. w Łodzi jako poeta. Wieczory autorskie tych twórców (pierwszego w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, drugiego w księgarni „Pegaz”) cieszyły się największym powodzeniem. Dzięki organizatorom festiwalu spotkania autorskie uczestników łódzkiego zjazdu odbyły się we wszystkich niemal środowiskach i dzielnicach Łodzi, zaplanowano bowiem i zrealizowano blisko czterdzieści takich spotkań. Wzięli w nich udział oprócz twórców już tutaj wymienionych Jan Bolesław Ożóg, Stanisław Skoneczny, Seweryn Pollak, Henryk Gala, Anna Kamińska i wiele innych poetów zaliczanych do krajowej czołówki. Ta eksplozja wielkich twórców dodała społecznej rangi Festiwalowi Poezji w Łodzi odbywającemu się w kulminacyjnym okresie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Z wielkim też zainteresowaniem oczekiwano ogłoszenia wyników trzech kon-

W konkursie A (dla twórców posiadających dorobek poetycki):

I nagroda — Mieczysław Michał Sza-

gan (Łódź),

II nagroda — Andrzej Waśkiewicz (Zielona Góra),

III nagroda — Emil Biela (Myślenice)

III nagroda — Andrzej Jastrzębiec Kozłowski (Warszawa).

Wyróżnienia:

Aleksander Wojciechowski (Poznań),

Edmund Puzdrowski (Bydgoszcz),

W konkursie B (dla debiutantów):

I nagroda — Stanisław Srokowski (Łódź),

II nagroda — Zbigniew Kuthan (Warszawa),

III nagroda — Jan Siwek (Warszawa)

III nagroda — Leszek Bakula (Ustka)

III nagroda — Kazimierz Swięciński (Łódź).

W konkursie C (dla wszystkich twórców wiersz o Łodzi):

I nagroda — Mieczysław Michał Sza-

gan (Łódź)

II nagroda — Roman Gorzelski (Łódź),

II nagroda — Konrad Frejdlich (Łódź),

III nagroda — Adam Puto (Tomaszów Mazowiecki),

III nagroda — Bronisław Wieczorkowski (Łódź).

Niezapomnianych jednak wrażeń dostarczył wieczór pożegnalny w „Złotej Salce” Grand Hotelu. Przemawiali tam: Stanisław Skwarczyńska i Mieczysław Jastrun. Ich wypowiedzi były adresowane szczególnie do młodych poetów, spadkobierców wielkiej tradycji poezji polskiej, która zwłaszcza w okresie Polski Ludowej uzyskała światową rangę. Uczestników zjazdu z ogromnym entuzjazmem powitała ogłoszona przez panią B. Wasowicz przedstawielię Prezydium RN m. Łódź zapowiedź kontynuowania Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji.

Trudno mi jest na gorąco, niemal w momencie zakończenia obrad, ocenić znaczenie I Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji Polskiej w Łodzi, pod taką bowiem nazwą to ważne wydarzenie przejdzie do historii kultury polskiej. Było to zjawisko w naszym mieście bez precedensu. Pozwoliło nie tylko na konfrontację postaw artystycznych najwybitniejszych twórców literatury narodowej, ale także na spotkanie osiągnięć twórców młodszych wszystkich pokoleń z tym, co aktualnie dzieje w naszym kraju. Porównanie to, czego dowodem wyniki konkursów, nie wypadło na niekorzyść naszego miasta. Wprost przeciwnie, były to dni triumfów, dni najważniejsze.

JERZY DARNAL

MIECZYŚLAWA KAUT

DWOJE NA BRZEGU

Płasek jest szorstki i laskocze stopy, chociaż mówi się, że na plaży żółty, aksamitny jest płasek. Dużo w nim kamyków: małe, duże, kolorowe, szare. Biorąc garść piasku podnosi się te różne kamyki.

Zdjęli buty oboje: mężczyzna i kobieta. Mężczyzna ma około czterdziestu lat. Jest mały, chudy, koszule zawinał na biodrach, a przez cienką skórę widać łopatki i chociaż jest chudy ma łopatki nieostre, jakby wygładzone przez czas, tak jak kamyki na brzegu, wygładzone przez morze. W rytm jego kroków łopatki wykonują monotony taniec. Kobieta idzie za nim i widzi tańczące łopatki, falujące zebra, chude ręce z szerokimi stawami w łokciach i prostokątne ramiona. Kobieta jest w szerokiej spódnicy, ma bluzkę bez rekawów i chusteczki na szyi. Wygląda jak kosiarka, jest opalona, smągła. Kiedy zbliżali się do plaży szła obok niego, potem ją wyprzedził. Dzieliły ich dwa, trzy, cztery kroki, a teraz widzi daleko przed sobą jego plecy, kark, patrzy jak stawia długie kroki, zostawiając na piasku ślady bosych stóp. Ona stawia małe kroki i w przestrzeni między dwoma jego śladami pojawia się jeszcze jeden ślad. Może zawołać

— „Zaczekaj, nie idź tak szybko”,
Może zresztą dogonić go, odległość nie jest duża. Trzydzieści sekund szybkiego biegu i stanie obok niego. Wtedy już nie ona, tylko ktoś inny, kto mógłby iść za nią, widziałby jego i jej ramiona, plecy, nogi. Ten ktoś pomyślałby, że oto dwoje ludzi idzie razem: mężczyzna i kobieta. Mówią bardzo mało i pokazują sobie znalezione na brzegu kolorowe kamyki, muszle, a czasem nawet drobne, kanciaste bursztyny. Ale ona nie będzie go doganiać. Będzie iść za nim tak długo, aż sam zatrzyma się, położy na piasku i udaje, że jest zmęczony poczeka na nią. Mogłoby nie mówić, ale powie
„Widzisz, zmęczylem się”, a jego nieprzy-

jazny wzrok doda — gdyby nie to, szedłbym dalej, a ty ciągle byłabyś z tyłu. Wtedy mogłaby iść sama i wyprzedzić go, ale ona położyła się obok i powie, że też się zmęczyła i że dalej nie potrafiłaby już iść.
„Ty jesteś silny” — powie, a on zamruczy, że za to ona jest słaba jak mucha. Będzie leżeć na piasku, a koło niego kolorowe kamyki i ona będzie mówić
„Jakie piękne zebrales, o i bursztyn jest. Moje są dużo brzydsze”.

Zatrzymał się, ale nie położył, tylko zawrócił. Szła coraz wolniej, wolniej i wreszcie oboje stanęli.

— Wracam już — powiedział.
Rozwiązał supeł z zawieszanej na biodrach koszuli, zmięta włożył na gołe ciało i zakrył nią ramiona obciążone cienką skórą, pokrytą dużymi, bladymi piegami. Potem koszule zapiał i włożył do spodni. Kobieta podniosła z ziemi kamień. Był mokry, ciemnoszary i poprzecinany siecią połamanych muszli. Uwieszone muszle miały różne kształty i były bardzo białe.

— Patrz — zachwycona wyciągnęła rękę.
— Ładny — powiedział mężczyzna.
— To weź go.
— Po co mi.

Wrócili. Znowu ją wyprzedził. Dwa kroki zmieniły się w dużą odległość i przed sobą, jak przedtem, widziała jego plecy. Już nie pochylał się, nie zbierał kamyków. Miał nimi wypełnione obie kieszenie. A jej kamień wysechł i zrobił się matowy, jasnoszary, tylko muszle były takie jak na początku, bardzo białe. Teraz był brzydszy niż przedtem i chciała o tym powiedzieć mężczyźnie.

— Patrz, wcale nie jest taki ładny, jak myśleliśmy...”, ale był daleko przed nią.

— Zaczekaj.
— Stanał i westchnął głęboko. Podeszła.

— Widzisz, zbrzydł — powiedziała.
Wrzucił ramionami

— To go wyrzucił.

Odwrócił się, zaczął iść. Chciała już rzucić kamień, kiedy pomyślała, że zagrażał się od jej ręk, był ciepły, matowy. Położyła go na brzegu. Fala zakryła kamień, a potem uciekła i odkryła błyszczący, ciemnoszary. Wzięła go do ręki i chłodny schowała do bluzki. W miejscu, w którym dotknął materiału, pojawiła się wilgotna plama. Przyspieszyła, przed nią znowu falowały łopatki mężczyzny, biegły dwa sznurki głębokich śladów, a płasek był szorstki i laskoczo kopał stopy.



Rys. M. Kapuścińska

Z reż. Zbigniewem Kuźmińskim

O KUBIE I NOWYM FILMIE

— Na wstępie może paru słów o fabule ostatniego filmu „ZEJŚCIE DO PIEKLA”.

— Raczej nie. Treść „Zejścia do piekła” jest znana z publikacji prasowych, więc nie zaudujmy Czytelnika. Pragnęliśmy tylko wspomnieć o pewnym zdarzeniu, które nawiązuje do filmu. Niedawno, przez łamy prasy krajowej i zagranicznej przewinęła się zmienna notatka. Oto policja w Chile wykryła niewielką osadę, zagubioną wśród tropikalnych lasów i gór, w której spokojny i wygodny świat hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, zbiegli po wojnie z Europy. Mają tam nawet własny obóz pracy przymusowej — wierną kopię b. hitlerowskich obozów z zagłady. W nim też zakatowali na śmierć pewną młodą kobietę! Otóż wspomniana informacja prasowa aktualizuje nasz film, stanowiąc zdziwiająco zbliżoną do fabuły „Zejścia do piekła”. Podkreślam: aktualizuje.

— Z pewnością podnosi to wartość politycznej wymowy filmu?

— Tak. I notatka i film wskazują, że fascyzm bynajmniej nie przestał zagrażać narodom, że wciąż stanowi potencjalne niebezpieczeństwo. I to weale nie przypadek, że właśnie my często odwołujemy się w filmach do wspomnianego problemu. W jakimś sensie jest to przecież obowiązkiem artystów mojego pokolenia, nie tylko filmowców.

Dla aktualnych dwudziestolatków druga wojna światowa — to już niemal prehistoria. Wiedzą o niej to i owo z podręczników szkolnych, literatury, wspomnień rodziców, no i filmu. Właśnie filmu. Wydaje mi się, iż współczesna historiografia dostaje do rąk wazki narzędzie pracy — zapis filmowy. To zobowiązuje twórcę filmu i do wnikliwego pogłębienia tematu, i do nadania mu wartościowego kształtu artystycznego. Ale powracając do tematu — sądzę, iż w obliczu pełniącego zachodniomirskiego militarnego antyfaszystowską problematyka filmów wciąż znajduje aktualność. Zresztą neohitlerowska krzątanina w NRF niepokoi niemal wszystkie narody. Dlatego światowe kinematografie sięgają coraz częściej do problematyki antyfaszizmu.

— Może jednak, mimo zastrzeżenia na wstępie, zechce Pan powiedzieć paru słów o „Zejściu do piekła”?

— Dobre, ale naprawdę tylko paru słów. „Zejście do piekła”, obok założeń nadzwykłych, jest przede wszystkim filmem sensacyjnym, który — jak na ten rodzaj filmu „przystoi” — zawiera

elementy przygody. Akcja trwa kilkanaście godzin i rozkłada się współcześnie, wyjątkowo w tropiku, w dwóch miejscach: w dużym mieście południowoamerykańskim oraz w buszu. Kuba jest dla nas właśnie tym stosunkowo łatwym dostępnym krajem, w którym mogliśmy taki film zrealizować.

— I?..

— I dalej już nic. Powiedziałem kilka słów.

— A zatem, ile osób liczyła polska ekipa filmowa?

— Około dwudziestu. Operatorem, kierownikiem produkcji, aktorzy, personel pomocniczo-techniczny. Mielismy oczywiście własną aparaturę filmową, ale częściowo korzystaliśmy również ze sprzętu kubanckiego. W filmie występuje wielu znanych aktorów kubanckich oraz jeden z kubanckich zespołów baletowych.

— Jak długo trwały zdjęcia?

— Około dwóch miesięcy. Przyjechaliśmy na Kubę w pierwszych dniach stycznia, a opuściliśmy ją w końcu lutego. Trafiliśmy na fatalną pogodę. Styczeń i luty to okres suchej, słonecznej i ciepłej zimy kubanckiej. Właśnie dlatego tę porę wybrałmy na zdjęcia. Jednak w tym roku było akurat na odwrót: często padał deszcz, a temperatura czasami spadała do... plus 10 stopni. Ziębięci Kubanicy orzekli, że było to „zima stulecia”.

Dodam tu jeszcze, iż polska ekspedycja filmu fabularnego gościła na Kubie po raz pierwszy.

— Czy to kooperacja?

— Nie. Film wyłącznie polski, realizowany przy współudziale aktorów niemieckich i kubanckich.

— Te współpracę można by więc nazwać jednym z pierwszych, szerszych kontaktów kulturalnych polsko-kubanckich?

— Nasza wyprawa, że użyję tego określenia, była w pewnym sensie polską misją kulturalną. I śmiem przyznasz — udaną.

— Jak Was przyjmowano na Kubie?

— Serdecznie. Bardzo. Na każdym kroku. Powszechnie zainteresowanie Polką, naszym narodem, polskimi sprawami. Roztańczone i rozpięwane społeczeństwo Kuby zna muzykę Chopina, a naukowy świat muzyczny fascynuje się Pendereckim. Szczególnie zaskoczyło nas i wzruszyło pozegnanie na lotnisku w Hawanie. Jakże samemu się nie wzruszać, widząc tyle manifestacyjnej przyjaźni?

— Co najmocniej utkwiło Panu w pamięci z pobytu na Kubie?

— Oczywiście. Bardzo. Na każdym kroku. Powszechnie zainteresowanie Polką, naszym narodem, polskimi sprawami. Roztańczone i rozpięwane społeczeństwo Kuby zna muzykę Chopina, a naukowy świat muzyczny fascynuje się Pendereckim. Szczególnie zaskoczyło nas i wzruszyło pozegnanie na lotnisku w Hawanie. Jakże samemu się nie wzruszać, widząc tyle manifestacyjnej przyjaźni?

— Castro, Muzeum Hemingwaya, kubancki pejzaż, architektura...

— Urwał Pan tak nagłe?...
— No dobrze, dobrze... i Kubanki. Sliczne. Ale niech pan napisze: Przystojne. Jestem żonaty.

— Nie obiecuję. Nie mogę wprowadzać w błąd kawalerów. A teraz w kolejności. Więc Castro.

— Indywidualność fascynująca. W styczniu, w dniu narodowego święta Kuby, byłem na wielkim wieceu w Hawanie, stałem na trybunie, niedaleko Fidelę Castro. Cóż za mówca! Gestykulacja, sposób mówienia, reakcja stu tysięcznego tłumu. Trzy i pół godziny, wszystko z pamięci. Wiec pod gołym niebem, upał ogromny, ale nikt nie odchodził. Spotkanie z Castro to przeżycie.

Dom Hemingwaya, pięknie usytuowany niedaleko Hawany. Zamieniony na muzeum. Mnóstwo tu pamiątek po wielkim pisarzu: rękopisy, maszynopisy, notatki, akcesoria pisarskie, rybki, myśliwskie, całkowite umeblowanie. Wszystko w stanie, w jakim pozostawił je wielki pisarz.

Kuba jest wyspą, skąpaną w morzu, słońcu i zieleni, przez okragły rok bajecznie kolorową. Znaczące połacie kraju pokrywają wiecznie zielone lasy palmowe. Rozległe, malownicze i świetnie zagospodarowane plaże, wody morza ciepłe i tak mocno zasolone, że i dziecko nie utonie. Klimat wymarzony. Wszystko to razem wzięte, czyny z Kuby kraj jeden z najwspanialszych w świecie pod względem turystycznym. Tylko ta odległość... koszt...
— Powróćmy teraz do filmu: czy zechciałby Pan wymienić nazwiska aktorów i pańskich najbliższych współpracowników?

— Ewa Krasnodębska, Ewa Krzyżewska, Norma Martínez, Piotr Pawłowski, Jerzy Przybyski, Hans Peter Minetti, Werner Diessel, Leon Niemczyk, Witold Pirkosz, Marek Perepeczko oraz wybitny aktor starszego pokolenia, Janusz Zarnecki. Zdjęcia Bogusława Lambacha, kierownictwo produkcji — Jerzy Rutowicz, dekoracje — Jarosław Switoniak, muzyka — Krzysztof Penderecki.

— Jakie polskie filmy wyświetlała kubanckie kina?
— Bardzo wiele. W styczniu i lutym wyświetlano: „Eroicę”, „Zamach”, „Gangsterzy i filantropi”, „Prawo i pięść”, „Milczące ślady”, „Agnieszka 46” i wiele innych. Kuba kupuje wiele filmów europejskich o zróżnicowanym repertuarze. Widzianymi na afiszach „Czerwona pustynia”, „Człowieka z Rio” i in.

— Czy kin jest dużo?
— Dużo. Ale co to za kina! Architektura wewnątrz, rzadko spotykany luksus technicznych wyposażen, klimatyzacja, czystość. Zapraszają do wejścia pomysłowe reklamy, barwne frontony i... chłód. Proszę się nie uśmiechać. Kataru można dostać jak się wchodzi z rozpalonej słońcem ulicy do takiego wnętrza.

— ???
— Co? Prowokuje mnie pan

do porównań? Wie pan, że swojego dzieciństwa pamiętam, sprzed dwudziestu pięciu lat, takie dziwne i ogromnie skomplikowane aparaty. Był to, czy pan słucha, taki przyrząd podobny bardzo do pompki do roweru. Jak go się wyciągało i z powrotem wciskało, wydawał syk, po prostu i zwyczajnie syczał. Zupełnie jak przy pompowaniu powietrza do detki. Wydział też chyba bardzo trudny do rozszyfrowania preparat chemiczny, jakaś ciecz. Kiedy obsługa kina z obu stron sali, kilkakrotnie w czasie trwania sesansu filmowego, przechodziła i rozpylała tę substancję, powietrze momentalnie, z najbardziej nieprzyjemnie dusznego, zmieniało się w letne, orzeźwiający. Ale może nie warto o tym pisać, bo to pewnie diabelnie skomplikowana historia z tymi aparatami. No, ale chwalebnie wkroczyliśmy w następne tysiąclecie, więc... Są w Łodzi takie kina, że wystarczy spojrzeć na fronton, aby stracić ochotę do oglądania w nich chyba największych arcydzieł światowej kinematografii. Za darmo. Czy widział Pan na przykład kino „Pionier”? Dziwna sprawa. Administracja kin myśli, że jej rola w obsłudze widza kończy się w momencie sprzedaży biletu. Co robi się u nas w celu przyciągnięcia widza do kina? Jakimi metodami pragnie się wywabić go z domu, często wygodnego, z telewizorem. Co oferuje się widzowi oprócz filmu? Proszę sobie przypomnieć te odrapane budy, ciemne i ciasne halle, zaduch i brzydotę ścian, wadliwe urządzenia techniczne, prymitywne siedzenia.

W takich warunkach, jeden z najinteligentniejszych widzów świata, żeyczywi i mądry, mający „swoich” aktorów, reżyserów, ulubione rodzaje filmów, polski widz często ogląda filmy i... często rezygnuje. Co uczyniono aby rezygnującego widza przyciągnąć i przekonać do takich naszych ostatnich filmów, jak: „Katastrofa”, czy „Miejsce dla jednego”, doskonałych przecież filmów, warty oglądania. Dlaczego od lat nie przejawia się żadnych nowych inicjatyw w wyposażeniu i budowie nowych kin, dlaczego nie walczą się o widza nowoczesnymi, śmiałymi środkami reklamowymi? Trudno. Westernów nie realizujemy. A jest to jedyny rodzaj filmów, jaki będzie oglądany bez reklamy, pod gołym niebem, w deszczu. Każdy inny film trzeba do widza domieść. A jeszcze tajemnicze znikanie polskich premierowych filmów z ekranów, nawet w okresie frekwencji?! Naturalnie, przyczyną tego są nam znane, wyliczone jednak wszystkich mankamentów dystrybucji polskich filmów nie jest celem tej rozmowy. No, zdaje się, że upłynęliem sporo goryczy.

— Ostatnie pytanie: kiedy premiera „Zejścia do piekła”?

— Pod koniec bieżącego roku.

— Dziękuję.

Rozmawiał: WL. STOKOWSKI

W PRACOWNI MALARZA

Dawniej był to chyba garaż, a może nawet wozownia. Pomieszczenie zamknięte na dziesięć spustów, nie zapowiadającego od zewnątrz tego czym jest w istocie. A jednak mieszki się tu pracownia malarzka i to nie byle czyja, bo Konstantego Mackiewicz.

Pracownia, a jednocześnie... galeria obrazów odwróconych tyłem do widza, złożonych niemal bez szacunku dla tego co kryją w istocie; te różnego rodzaju prawdziwe i wyimaginowane, te natury marowe i ten beczmar ruin całych miast, które nigdy w rze czywistości nie istniały.

Artysta ustawia na stalugach płótna, które uważa za swoje najciekawsze prace, albo takie, nad którymi bezustannie pracuje mimo, że po zornie dawno już były wykończone. Jest niezadowolony z tego czy innego fragmentu, niektóre chciałby wręcz zmnieć czy wyeliminować. Właśnie pokazuje kikuty rozwolonych przez wojnę domów a zaraz potem drugi obraz przedstawiający jakby na półkuli ziemi — zniszczone miasto.

Przysiadłszy na dobrze podniszczonej kozetce, przypatruje się tym świetnie wykonanym pracom i narzuca mi się pytanie, które kieruje do mi strza: czemu ciągle tyle pesymizmu? A Konstanty Mackiewicz odpowiada: „Ja, proszę Pani, jestem pesymistą, który myśli optymistycznie. Może to paradoks, ale przed stawiając widma pozostałości wojen i zniszczeń, chce rzuć myśl optymistyczną o przyszłość, że jest to mój sposób skromnego udziału w walce o pokój”.

Czekając aż Konstanty Mackiewicz wydobędzie spod ster ty te prace, które chce w dalszym ciągu zaprezentować, spoglądam na jedną ze ścian, na której wisi naciągnięte na białejramie płótno, przedsta-

wiające swego rodzaju ciekawostki ważne chyba tylko dla pana Konstantego: numery telefonów, jakieś adresy, termometr, który wskazuje właśnie 14 stopni C. Jest to spostrzeżenie na marginesie wizyty w pracowni malarza, bowiem po chwili uwagę zwraca przedstawiłona właśnie katedra Notre Dame, za chwilę fantazja na temat tej katedry, kilka katedr wymagających nowowych aż wreszcie piękne, prześwietlone poprzez barwne witraże wnętrza jednej z kaplic w kościele parafialnym.

A teraz coś ciekawego i niepewnego. Malarz prezentuje obrazy, których treść i modele nawiązują do malarstwa Renoira. Oto „Śniadanie na werandzie”, oto „AMy”. Mackiewicz, biorąc jako podłoże określone obrazy Renoira, przydaje im specyficznie nowoczesności, wkraczając w ultrarealizm i tytułując całość tych prac zwrotem: „Bon jour, monsieur Renoir”. Pomyśl, zaiste, ciekawy a obrazy pseudorenoirskie — pełne wdzięku.

Wśród natłoczonych płócien wiele jest malowanych przed laty, inne — dopiero co — jeszcze nie uirzaly światła fakiej wystawy. Spośród tego natłoczenia Konstanty Mackiewicz wybiera nieomylnie prace, które chciałby pokazać. Oto piękna martwa natura z owocami, malowana przed laty 20. Oto mały, barwny, w manierze kubistycznej, obrazek, który uchołwał się sprzed lat kilkudziesięciu.

Przyszedł tu, aby obejrzeć szczególną pracownię malarza, który nie zamieniłby tej starej wozowni na najbardziej nowoczesną. No cóż, może na to zrozumieć. Konstanty Mackiewicz lubi życie, jego wartki nurt — nie chce być od niego z dala nawet wtedy, kiedy praca wymaga skupienia i odosobnienia.

J. SAKOWICZOWA

SPEKTAKLE tygodnia

POLONIA		FILM
	„Człowiek z Rio” 16 seansów	9842 — 85%
WŁÓKNIARZ	„Jeden przeciw wszystkim” 42 seanse	15508 — 85%
NOWY		TEATR
	„All Baba i 40 rozbójników” 2 spektakle	1400 — 100%
	„Lato w Nohant” 1 spektakl	700 — 100%
	„Jeszcze raz o miłości” 1 spektakl	490 — 70%
	„Dożywocie” 1 spektakl	360 — 80%
	„Trojanki” 1 spektakl	350 — 50%
MAŁA SALA		
	„Indyk” 1 spektakl	160 — 80%
	„Lekcja. Szalenstwo we dwoje” 2 spektakle	290 — 70%
	„Anioł na dworcu” 1 spektakl	160 — 80%
	„Drewniana miśka” 2 spektakle	400 — 100%
POWSZECHNY		
	„My fair lady” 3 spektakle	1980 — 100%
	„Tango” 1 spektakl	600 — 90%
	„Maskarada” 1 spektakl	480 — 85%
JARACZA		
	„W pustyni i w puszczy” 1 spektakl	672 — 100%
	„Sie Kochamy” (debiut reżyserski K. Chmca) 1 spektakl	670 — 100%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ		
	„Antygona” 2 spektakle	603 — 100%
	„Anioł na dworcu” 2 spektakle	480 — 85%
	„Konrad Wallenrod” (przedstawienie plenerowe)	7000 —
OPERETKA		
	„Noc w Wenecji” 6 spektakli	5220 — 80%
	„Taka noc nie powtórzy się więcej” 2 spektakle	840 — 100%

BOGDA MADEJ

NOWE KSIĄŻKI BABINICZA

I oto znów mamy okazje, nie pierwszą zresztą w ostatnich miesiącach, powrócić do twórczości Waldemara Babinicza. Po „Rówieśnikach” i zbiorze reportaży wydanych pod wspólnym tytułem „O babkach, nugatach i dziwnej antyfoni” otrzymaliśmy dalsze dwie pozycje — „Działę” i „Egzamin dojrzałości”. Inne są tematy tych książek, inny klimat, inni bohaterowie, a przecież w obu, autor — znany działacz społeczny na Kielecku — porusza problemy charakterystyczne dla współczesnej rzeczywistości. Znów

spotykamy się na Ziemi Kieleckiej, tyle, że w innych, różnych czasach i różnych warunkach. Zbiór opowiadań zebranych w tomie — „Egzamin dojrzałości”, sięga pierwszych, powojennych lat, kiedy nowa władza w nowym ustroju stawała pierwsze, czasem bardzo trudne kroki. Babinicz, przedstawiając w swoich opowiadaniach autentyczne fakty i wydarzenia, sięgnął do interesującego źródła, jakim były prace funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa i milicji, nadesłane na konkurs zorganizowany przez Komitet Ochotnicy Dwieścielecia MO i Służby Bezpieczeństwa w Kielcach. Babinicz, który przewodniczył sądowi konkursowemu, wybrał spośród 64 nadesłanych prac najbardziej charakterystyczne, które potem posłużyły mu jako materiał, na którym oparł swoje opowiadania. W efekcie dostaliśmy utwór o wadze dokumentu; przedstawione fakty i wydarzenia zawdzięczają swoją siłę wymowy autentyzmowi i właśnie dlatego są tak wstrząsające. Obrazy bratobójczych powojennych wałk w których przeciwnicy nowej władzy z reguły nie przebiegali w środkach,

nakreślone z dosadnym realizmem, nie mogą pozostawić czytelnika obojętnym. Dla wielu, a szczególnie dla młodszego pokolenia, które nie zna i nie pamięta tamtych lat, „Egzamin dojrzałości” będzie nie tylko lekturą o fraępującej i sensorycznej treści, ale przede wszystkim będzie książką o wartości niemal historycznej, służącą do wzbogacenia wiedzy o naszej rzeczywistości. Książka ta powstała niejako na społeczne zamówienie. Istniała luka w polskiej literaturze powojennej, Babinicz obierając za bohaterów swoich opowiadań funkcjonariuszy milicji i służby bezpieczeństwa, przedstawiając ich nielatwe życie, narazone na codziennie niebezpieczeństwo, lukę tę w pewnym stopniu wypełnił. Jego opowiadania, to nie tylko obrazy groź budzących przeszyć; autor studiując nadesłane na konkurs pamiętniki, szczególną uwagę zwracał na sylwetki ich autorów. Starając się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego młodzi ludzie wybrali tę ciężką i niebezpieczną pracę, autor specjalny nacisk położył na ich psychikę, na powolne dojrzewanie do życia w nowym społeczeństwie.

Zupełnie inną pozycją jest druga książka Babinicza — „Działę”. To już tradycyjna powieść traktująca o życiu bliższym nam wszystkim, o współczesnym dniu prowincji, o ludziach zamieszkujących małe Bierzmowo i ich problemach. Tytułowy bohater, stary Działę, prezes niewielkiej spółdzielni od spraw remontów, to człowiek charakterystyczny nie tylko dla prowincji. Wystarczy rozejrzeć się wokół, aby przekonać się, że Janusz Działę to nie tylko papierowy bohater, uwikłany w brudne sprawy swojej przeszłości, wszystko rzykujący dia zdobycia pieniędzy. To zupełnie realna postać. I rzeź dość dziwna. Można by wyliczyć sporo wad starego Działę, można by mówić o jego dziwnactwach i śmiesznościach, trzeba by było przeciwstawić mu Działę-juniora, postać bohatera pozytywnego, jeśli dzielić według szablonowych pojęć, którego dojrzewanie do życia w społeczeństwie obserwujemy na kartkach powieści, ale i tak, nie wiem, czy zgodnie z intencją autora, stary Działę budzi więcej sympatii. Bo chociaż jest sprytny, chociaż umie zbijać forsy i właś

ciwie wydawałoby się, że nie-żle się urządził w życiu, to Działę — w gruncie rzeczy jest człowiekiem słabym, który nie znalazł zrozumienia wśród najbliższych, nie znalazł szczęścia, jest człowiekiem, który swoje życie przeżył. Ludzie słabi zawsze budzą zainteresowanie bliźnich, z pewnością zainteresowanie bardziej życzliwe niż to, z jakim odnosimy się do tych, którzy przechodzą obok nas z nieskazitelną opinią i bez potknięć. Tak jest w życiu, podobne kryteria stosuje się wobec literackich bohaterów. I dlatego czytelnik nie pozostanie obojętny wobec tragicznej śmierci Działę — trzeba się będzie zastanowić — dlaczego?, czy rzeczywiście konieczne było takie właśnie wyjście? Dużym atutem powieści Babinicza jest doskonała oddana atmosfera prowincjonalnego miasteczka. Autor znany jest z umiejętności szkicowania różnych, ciekawych sylwetek i ciekawych charakterów. Tym razem oglądamy galerię malomiasteczko-wej inteligencji, wszystkich wielkich i ważnych Bierzmowa. Jest więc sekretarz partii, jest ksiądz — bibliofil, stary

Wieleń, Polak z Australii, jest wreszcie kapitalny „salon” ciotki Zboromirskiej. Historię przedwojennych i powojennych przemian społecznych w Bierzmowie autor zgrabnie przedstawił na przykładzie zmian reprezentacyjnej, miejskiej kawiarni, o której opowiada Wielgocki. Może niepotrzebnie znalazły się w książce listy Elżbiety; traci na tym żywo, dzięki dynamicznym dialogom, prowadzona akcja. Listy, niby duży nawias, dzieła książkę na dwie części. Jeśli już mówimy o dialogach, to trzeba to Babiniczowi przyznać; w obu pozycjach dialogi są świetnie prowadzone. Świadczy o tym, że mamy do czynienia z pisarzem zdającym sobie sprawę ze sprawności swojego pisarskiego warsztatu i z obserwatorem, który umie patrzeć na ludzi i to, co się wokół nich dzieje. I dlatego chętnie Babinicza czytamy.

Waldemar Babinicz: „Działę”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1965, str. 283, cena 21 zł. „Egzamin dojrzałości”, Wydawnictwo Łódzkie, str. 237, cena 21 zł.

LESZEK ST. RUDNICKI

„RIBAR PALUNKO”

Mały światek kódkich lalkarzy jest chyba jednym z najruchliwszych środowisk artystycznych w kraju. Ciągłe dzieje się w nim coś nowego, trwa ożywiona wymiana kontaktów i doświadczeń. W miesiącu maju Teatr Lalek „Arlekin” gościł u siebie, już po raz drugi, Teatr Lalek z Zagrzebia (Zagrebacko Kazaliste Lutaka). W związku z tym chciałbym nieco uwagi poświęcić temu nadzwyczaj interesującemu zespołowi.

Zaczął się to bardzo dawno, bo już po I wojnie światowej. Wtedy to właśnie powstał w Zagrzebiu pierwszy teatr lalek. Amatorska scenka założona przez grupę entuzjastów tej dziedziny sztuki, wśród których byli — malarz, prof. Lj. Babić, pisarze V. Nazor i V. Car- Emin i kompozytorzy B. Krnić i B. Sirola. W roku 1945 scenka odrodziła się pod kierunkiem artystycznym prof. V. Habunka, a później prof. V. Rabadana. Od roku 1948 teatr jest już instytucją państwową, zdobywając sobie z roku na rok nowych widzów i zagorzałych miłośników.

Tyle mówi nam, skromniutki podany rys historyczny teatru. Przyjeżdżając do Łodzi miał on już za sobą 40 kompletnych programów w 2.500 przedstawień dla ponad pół miliona widzów. Niemalże Repertuar zaś, to sporej rozpiętości wachlarz utworów rodzimych autorów i klasyków literatury światowej (od braci Grimm, przez Dickensa do Puszkina).

Liczący 15 osób zespół Kazalista przybył do Łodzi pod wodzą obecnego dyrektora teatru, p. V. Kauzlaric. Jugosłowianie, poza fachowymi spotkaniem, zwiedzili też Polskę. Przez około dwa tygodnie byli gośćmi gdańskiego teatru lalek „Miniatura”. Zwiedzili Kraków, Olsztyn i Ziemię Kielecką, nie mówiąc o Warszawie. W Łodzi wystawili w Sał PTL „Arlekin” sztuki Ivony Brlic Mazuranic — „Ribar Palunko i njegowa žena” (Rybak Palunko i jego żona). Spektakl ten zasługuje na nieco dokładniejsze omówienie.

Baśń o rybaku Palunko, to połączenie legendy ludowej z literacką. Jakiś młynarz dziejów Sądka ubranego w jugosłowiański strój narodowy. Napisana pięknym, potoczystym wierszem sztuka, dla ucha polskiego, i chyba nie tylko polskiego widza, stanowi istny kon-

cert nagrany czysto i bezbłędnie. Dochodzi do tego prosta choć interesująca scenografia Berislava Dezelicia. Artysta nadał trochę niecodzienne formy i kształty lalkom przedstawiającym stwory żyjące w głębinach morskich. Mieliśmy okazję podziwiać, jak interesujące efekty plastyczne można osiągnąć przy umiejętnym wykorzystaniu barwy i światła. Każda, najdrobniejsza nawet scenka dawała pełny i harmonijny obraz. Pamiętać zaś należy, że w teatrze lalek strona plastyczna, czysto widowiskowa spektaklu, jest nieomal najważniejsza.

Reżyser, p. Kosovka Kuzat, nadała akcji tempo żywe, wciągające widza, absorbujące całkowicie jego uwagę. Przy okazji mała uwaga. Sztuka podana była w jęz. serbo-chorwackim i zważywszy na stosunkowo dużą zawartość tekstu, można było oczekiwać pewnego znużenia, czy nawet znie-

cierpliwienia ze strony bardzo młodego widza. Języki nasze, choć oba słowiańskie, dla nieprzygotowanego dziecka są dość trudne w zrozumieniu. Nie podobnego! Prawdopodobnie zasługa w tym scenografii, jednak widzowie przez cały czas śledzili bieg akcji z niesłabnącą uwagą. Długie zaś oklaski i masy kwiatów, świadczyły wyraźnie o zadowoleniu z jakim sztuka została przyjęta.

Wizyta Kazalista w Łodzi miała jeszcze jeden, zupełnie nieoczekiwany, a cieszący efekt. Przy współpracy aktorów jugosłowiańskich i polskich nagrano w łódzkim studio telewizyjnym sztukę France Milcinsky’ego „Gwiazdeczka zaspancezka”, w tłumaczeniu i adaptacji Henryka Ryła. W czerwcu br. zostanie ona przedstawiona szerokim rzeszom małych telewizyjników w programie ogólnopolskim.

Dobiegła końca wizyta w Polsce. Obie strony rozstały się svtę wrażeń, pełne nowych pomysłów, bogatsze o nowe umiejętności. Zespół Kazalista udał się z Polski do Monachium, na Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalek Zyczymy Wam. Przyjaćcie powodzenia w festiwalowych bojach!... do zobaczenia niebawem.

KRONIKA

Antytelewizyjna

ROMANTYKA

Któż nie sięgał do epepeł Szwejk? Dziesiątki przeróbek i adaptacji, zaś w czasie wojny felietony i skecze żołnierskie, wskrzeszające czeskiego lazika w nowych sytuacjach. I zawsze żywy rezonans. Ale ciekaw jestem, czy potrafił kto wymienić adaptacje w pełni udane? Bohdan Czeszko w słowie wstępnym, wypowiedzianym niezwykle sympatycznie, ducho mówił o swoich i współautora intencjach, z góry odparowując ewentualne pretensje widza. Jednak wydaje się, że arcydziela literatury trudniej poddać się kuszącej skadinad zabiegom adaptacyjnym i scenariuszowym niż dzieła dobre, ale niezbyt wybitne. I to jest chyba zrozumiałe: jeżeli jakimś utworowi można nadać inną

formę, nie z niego nie rozniać, no to coś tam chyba nie klanowało.

Otrzymałam szereg scen, które niewątpliwie bawiły. Sam Szwejk mógł nawet opowiadać naszym o nim wyobrażeniom. Inni bohaterzy także, mimo iż reżyser nie potrafił zdecydować się na styl przedstawienia: oscyłowal między groteska a naturalizmem.

Dobrze byloby przeprowadzić odpowiedni wywiad, by sprawdzić, czy Szwejk narzucał się tym, którzy zetknęli się z nim po raz pierwszy? Bo my, wdzięczni czytelnicy Jaroslawa Haszka, jesteśmy od dawna życzliwie usposobieni i przygotowani do każdego kontaktu.

Wiele swoistych wątpliwości obudziła w sprawozdawcy rzecz St. Bratkowskiego „Pogranicze, południk 15” czy też „Western na południku 15”, bowiem różnie tytuł w prasie podawano — transmisja z przedstawienia teatru im. Bogusławskiego w Kalszu.

Mysle, że ten sam utwór, osadzony w realiach powoiennych, w okolicznościach odbudowywania i zaczynania nie raz z niczego, zabrzmiałby może lepiej. Wtedy trzeba było improwizować, wtedy sytuacje awaryjne, jak to się mówi, były czymś naturalnym. A ludzie, szczęśliwie wynurzeni z wojny, nawet do improwizacji byli przyzwyczajeni, ba, lubili ją. Ale improwizacja na ważnej budowie, w roku dafny na to 1957, może nas razić. Nasza współczesna romantyka niech raczej polega na umiejętności zgrania orac i przed siewiec z harmonogramem, na dokładnym przewidywaniu, że to coś bardziej naturalnego i budzącego ufnosc.

A możecie zastrzeżenia wnikliwa ze słabości utworu? Bo bohaterzy sztuki nie zostali do statecznie określeni choć pracowicie i samokrytycznie określali się w sposób przypominający chwyt znakomitego dramaturga włoskiego, Luigi Pirandella. Może utalentowanym aktorem tekst nie dostarczał odpowiednich możliwości? Bo ja wiem...

Z racji IX zjazdu pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych „10 minut recenzji” do świeceno omówieniu kilku książek autorów, mieszkających na tamtych ziemiach, związanych z interesującymi i korzystnymi przemianami tamtych ludzi i środowisk. Trzeba się do tej życzliwości warszawskich recenzentów ustosunkować cokolwiek ironicznie. To prawda, że nie tak dawno „sam” Artur San dauer mówił o książce Hen-

ryka Worcella. Ale wcięż ma to posmak oświećności, zainteresowania okazijnego, mimo iż właściwie wszyscy zdają się na to, że ocena twórczości tych pisarzy nie wymaga taryfy ulgowej, wymaga natomiast stałego czylnormalnego zainteresowania.

Choćby audycja poświęcona twórczości St. J. Leca należała do programu pozaprzeszej niedzieli, chciałbym o niej wspomnieć. Przecież nie ujrzę więcej w kawiarni przy Krakowskim Przedmieściu Stanisława Jerzego, dobrodusznego rozmówcy a drapieznego pisarza, który książkę „Zycie jest fraszka”, wyd. w



1948 roku, zaopatrzył w motto: „Streszczajmy się, świat jest przedłużony słowami”. I rzeczywiście zrealizował ten trudny program we fraszkach i aforyzmach. Wspomniany tomik otwierała właśnie wymowna fraszka:

Pytacie się mnie zawsze:

Staszku,

ciągle z drzewa poznania

stracasz owoc fraszki,

czemu nie drażysz korzeni,

głębiam poematu?

Słowami z innych jesieni

wesłane Wam na to:

„Aus meinen grossen

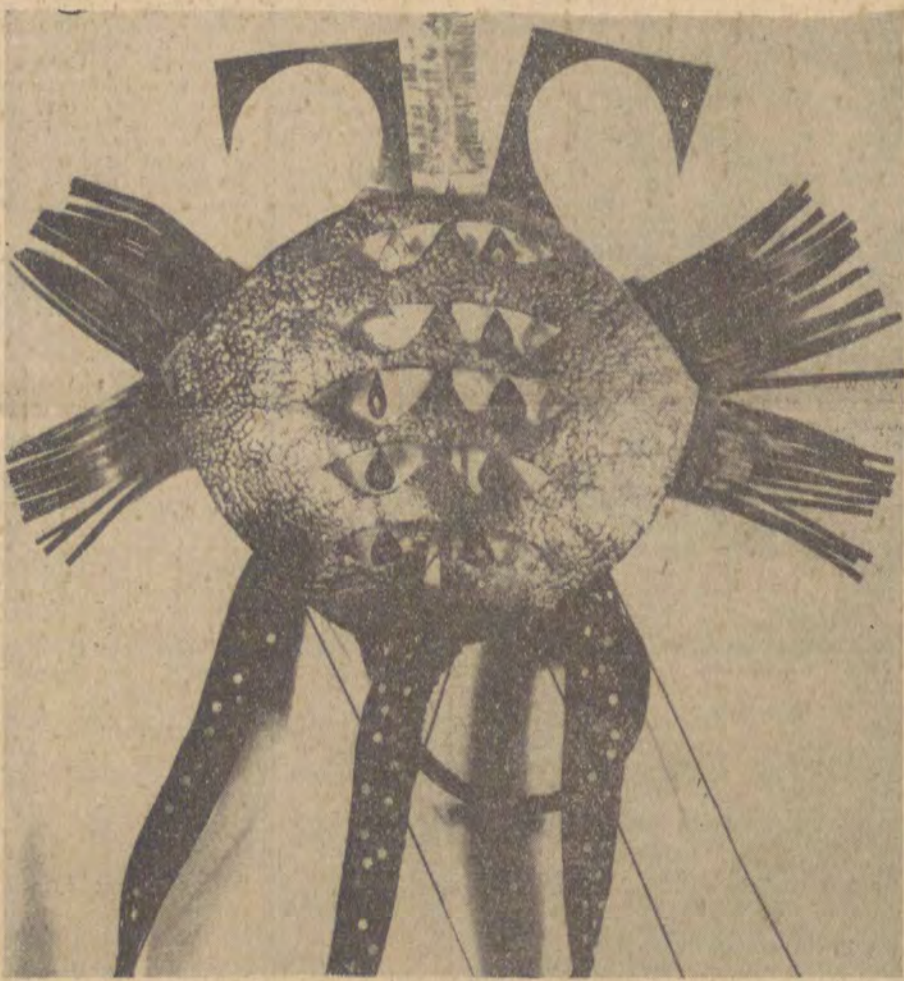
Schmerzen

mach ich die kleinen Lieder”.

Jakby mi te piosenki

Heine z serca wydarł!

Jan Huszarz



Fot. Branko Bališ, „Krab morski”.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



O filmach Raoul Walsha pisze Andre Bazin, że „sa w pewnym sensie doskonałymi przykładami owego westernu nieco powyżej serii B, filmami nasyonymi sympatycznym, tradycyjnym wigorem dramatycznym. W każdym razie nie ma w nich ani śladu tezy. Postacie interesują nas tylko w związku z tym, co im się przydarza; zaś wszystko to, co się im przydarza, mieści się całkowicie w tematyce westernu”. Stwierdza też Bazin, że Walsh jest najwybitniejszym z weteranów westernu tradycyjnego. Oblicza się, że przez z górą pięć-

dziesiąt lat swej działalności reżyserkiej Walsh nakręcił około 140 filmów. Są to westerny, filmy przygodowe, gangsterskie, wojenne, kryminalne, filmy płaszczą i szpady oraz komedie z akcentami farsowymi. Ten olbrzymi ilościowo dorobek możliwy był dzięki dobremu opanowaniu rzemiosła filmowego przez Walsha oraz jego znajomości gustu szerokiej publiczności. Krytyka zgadza się, że filmy Walsha należa do kategorii B, tzn. nie pretendują do osiągnięć artystycznych, nie noszą też istotnych wartości poznawczych. Są filmami

rozrywkowymi, robionymi dla szerokiej publiczności i schlebłymi jej gustom. Walsh robi je niemal serijnie. Jeśli kręcenie przeciąga się dłużej niż pięć, sześć tygodni, reżyser nudzi się swym filmem. To tempo produkcji i niewątpliwie imponująca ilość filmów spod znaku przygody, robionych przez Walsha, dyktują jego dzielom pewną stereotypowość. Widac to wyraźnie w „DWOCH Z TEKSASU”. Mimo że western jest gatunkiem zakładającym z góry pewną schematyczność, daje jednak twórca duży margines swobody. Walsh nie wykorzystał

tego marginesu. Jeśli stara się zajmować, to jedynie wielkością stada bydła, ilością statystów, dzikością okolic, rozmachem akcji, brawurą bohaterów. Dlatego mimo dobrego rzemiosła można się wreszcie na takim filmie podenerwować. Schematyczność jest posunięta tutaj zbyt daleko. Widza traktuje się tak, jak gdyby jego mentalność zatrzymała się na poziomie „nastolatka”. Przy większej ilości takich filmów można się nimi udziwić. Oglupiają, zbyt mało ofiarowując w zamian.



Dziesięć lat minęło od premiery „Fanfana Tulipana” z niezapomnianym Gerardem Philippe’em, kiedy Christian Jaque powrócił do tego tematu. W 1963 roku powstał więc barwny, szerokokrotny film o charakterze awanturczym, przygodowym — „CZARNY TULIPAN”. Przed Alain Delonem, któremu powierzono główną rolę, stanęło nie lada zadanie: nielato jest odnieść sukces, kiedy miało się poprzednika tej miary, co Gerard Philippe. Aleksander Dumas oświećony znowu po raz któryś już z rzędu przez kinematografię — i tym razem zwycięsko zawładną ekranem, nie było to jednak

zwycestwo tak imponujące jak owe dziesięć lat temu. W porównaniu z „Fanfanem” „Czarny Tulipan” traci dość wiele. Rozpatrywany niezależnie od znakomitego poprzednika jest jednak filmem rozrywkowym bardzo dobrej klasy. Największą jego zaletą jest świetne tempo i humor. Niestychalnie dynamiczna akcja nie pozwala ani na chwilę zwolnić biegu wydarzeń. Sytuacje zmieniają się jak w kalejdoskopie. Ludzka odwaga, siła i zręczność świecą na ekranie swe triumfy. I dlatego filmy tego rodzaju stwarzają klimat idealnego odpoczynku dla widza. Każą podziwiać człowieka jako istotę fizyczną, nie

komplikuja go pod względem psychologicznym. Widz nie musi tu wysilać swego intelektu. Może śledzić bezmyślnie i cieszyć się tym, co widzi. A jest się czym cieszyć, tym bardziej, że główną rolę odtwarza w „Czarnym Tulipanie” Alain Delon. To naprawdę doskonały aktor. Znany publiczności z wielkich i wybitnych ról w „Rocco i jego bracia”, „Zacmieniu”, „Lamparciem”, zabysłł tym razem w zupełnie odmiennym typie filmu. Delon na rozrywkowo, na przygodowo, również jest doskonały. Bije się świetnie, kocha równie dobrze i znakomicie popiuse zręczność a (warto dodać, że w większości swych

akrobacyjnych niemal scen występuje bez dublera). Wszystko to odbywa się wreszta niemal z brawurą i predkością. Najmilszy przy tym był memu sercu tytułomuru „Czarnego Tulipana” — niesfrasobliwy, ukazujący wszystko z dużym przywrzuceniem oka, pokpiwający sobie przy okazji z pewnych współczesnych nam stereotypów myślenia. To film pełen rozmachu i fantazji. I choć nie dorównuje „Fanani Tulipanowi”, jest zabawą naprawdę dobrą.

MARIAREL

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

Z WIELORYBEM W „KOTKA I MYSZKĘ”...

W końcu ub. roku, rybaicy z Kolumbii Brytyjskiej wyłowili siecią wielorybą zębatą. Była to zdobycz wyjątkowo rzadka. Uczenni wielu krajów już od szeregu lat, lecz bezskutecznie, usilowali upolować tego drapieżnika mórz. Wieloryb zębaty trzyma się wód pełnego oceanu, i, praktycznie rzecz biorąc, złapać go nie sposób. Podręczniki i encyklopedie podają, iż wieloryb zębaty jest zwierzęciem niebezpiecznym i podlega odstrzałowi. Samiec liczy sobie 10 metrów długości i waży ok. 15 ton. Napadając na inne osobniki z rodziny wielorybów, odryza im wargi, język i płetwy piersiowe, a następnie oddala się i czatuje, aż ofiara zdechnie z upływu krwi. W żołądku pewnego wieloryba z tej rodziny ssaków, znaleziono szczątki 13 delfinów i 14 fok.

Złapany w sieci wieloryb zębaty okazał się młodym samcem o długości ok. 8 metrów i wadze ponad 5 ton. Od nazwy pobliskiej osady rybackiej nadano mu imię Namu. Wieść o wyłowieniu go rozeszła się lotem błyskawicy. Na miejsce przyjechał samolotem amerykański uczonec, dyrektor państwowego akwarium w Sittie, niedaleko Waszyngtonu. Edward Griffin, który kupił to rzadkie trofeum za 8 tys. dolarów. W jednym z numerów „Nation Geographic”, Griffin zamieścił obszerną publikację na temat Namu. Jej fragmenty zamieszczamy poniżej.

★

Przettransportowanie takiej zdobyczy na odległość 450 mil nie było zadaniem prostym. Jednak Griffin nie tylko wykonał je, lecz w drodze dokonał ponadto wielu rewelacyjnych obserwacji o zwyczajach Namu, jego upodobaniach i narowach. Wbrew oczekiwaniom, Namu nie odmawiał przyjmowania pokarmów. Wprost przeciwnie ze smakiem konsumował rzucane mu ryby. Jednakże nie przestawał okazywać pewnego niepokoju. Jak się okazało, w pobliżu ogromnej klatki z siecią, która wraz z Namu holowano za jachtom, pojawiło się stado wielorybów zębatych. Liczyło ok. 30-40 sztuk.

Pojedynczo lub małymi grupkami podplwały do zagrody z sieci i nagle zatrzymywały w pewnej odległości, choć bez trudu mogły ją przetrwać. Griffin tłumaczy to faktem, iż wieloryby zębate, podobnie jak delfiny, dysponują wspaniałym, nadawczo-odbiorczym aparatem dźwiękowym, który chroni je od zderzenia z przeszkodą. Wychodząc z tego założenia, uczonec przypuszcza, iż Namu wystarczyłoby ogrodzić tylko warstwą papieru... Podczas transportu wieloryby nie raz podplwały do wiezionego towarzysza, co wprowadzało go w stan silnego zdenerwowania.

Po upływie miesiąca Namu przetransportowano wreszcie w rejon Sittie i umieszczono w specjalnym boksie morskim. Ten swego rodzaju basen napełniono wodą oceaniczną, zaczerpniętą z głębokości 20 metrów. Pierwsze tygodnie pobytu w nowym miejscu Namu źle znosił: był osowiały, nie pływł i nie jadł. W celu wywołania apetytu, przez pewien czas strzelano doń z... luku. Strzały, zakończone specjalnym grotem, wprowadzały mu pod skórę kompleks witaminy B. Po tej kuracji, lub może z innych przyczyn, mieszkaniec basenu zaczął przejawiać oznaki dobrego samopoczucia. W grudniu ub. roku zjadał dziennie od 200 do 400 funtów ryby.

Griffin nie od razu odważył się zbliżyć do drapieżnika i stanąć z nim oko w oko. Gdy któregoś dnia podplwał blisko do siatki, wydawało mu się, iż Namu spojrział na niego z wyraźną sympatią. Wieloryb i człowiek po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy...

Po kilku dniach Griffin zauważył, że Namu zaczyna szukać jego towarzystwa; sam zbliżał się do siatki, obserwował Griffina i ani razu nie zrobił agresywnego gestu. Przypominał psa przyjaźnie usposobionego do człowieka. I oto uczonec zdecydował się wejść, po raz pierwszy, do basenu!...

„Z niewielką szczołką w reku — opowiada Griffin — płynąc pod wodą, zbliżyłem się do Namu. Wieloryb nie przejawiał najmniejszej ochoty ani do ucieczki, ani do napaści. Chwilę pozostalem

przy nim, po czym odplynałem. To był pierwszy bezpośredni kontakt. Tegoż dnia znów znalazłem się w basenie. Tym razem zacząłem pływać wokół Namu. Był zupełnie spokojny. Wszedłem mu na grzbiet i leciutko ciągnąłem za płetwę. Namu ruszył z miejsca, przepłynął dwie lub trzy mile wokół basenu, po czym po prostu zrzucił mnie z grzbietu jakby chciał powiedzieć: „pobawiliśmy się i wystarczy”.

Później, mając Griffina na grzbiecie, Namu nie raz zasypiał i trzeba go było bu-

mował z wielkim zadowoleniem.

Po pewnym czasie Griffin wypływał na basen łódką, a Namu ocierał się grzbietem o jej dno. Lubiał takie karety. Któregoś dnia wieloryb podplwał pod łódź i uchwyciłszy ją grzbietowymi płetwami ciągnął wokół basenu. Te igrzyski trwały niekiedy tak długo, że Griffin musiał używać różnych manewrow, odwracających uwagę Namu od łodzi.

Griffin opowiada o pewnym incydencie, który omal nie skończył się tragicznie.

bić. W pewnym momencie wieloryb szybko odwrócił głowę, reka ześliznęła mi się z jego nosa i straciłem równowagę. Pragnąc ją odzyskać, zrobiłem jakiś nieostrożny ruch reka i uderzyłem Namu rybą w wargach. Ten, sądząc, że daje mu rybę, błyskawicznie otworzył potwornie uzbębiona paszcze — byłem akurat wsparty biodrem o jego wielką głowę — i zamiał ryby chwycił mnie za nogę! Chwycił, to znaczy cała moja noga zniknęła w paszczy Namu. Wszystko stało się tak niesłychanie szyb-

fin. Wieloryb i człowiek daleko odplawali od brzegu. Na mu odwracał się brzuchem do góry, a Griffin sadził się na nim. Następnie uczonec kał do wody i co sił dął do brzegu. Namu rzucał się za nim w pogoń, doganiał, brał na grzbiet i zwracał na poprzednie miejsce. Taka zabawa mogła trwać bardzo dłu go. Oczywiście Namu zawsze wygrywał...

Niekiedy Namu był w złym usposobieniu. Kiedy zaczynał rzucać głowa w prawo i w lewo, w górę i w dół, lub uderzał płetwą o wodę, oznaczało to: zostaw mnie w spokoju.

Ogólnie rzecz biorąc, pod względem struktury budowy, zwyczajów i, jeśli można tak powiedzieć — sprytu, wieloryby zębate niewiele różnią się od delfinów. Zazwyczaj mają wysoki stosunek procentowy wagi mózgu do ciała. Np. mózg młodego wieloryba zębatego, o ogólnej wadze ciała kilka ponad tone, waży ok. 6,3 kg.

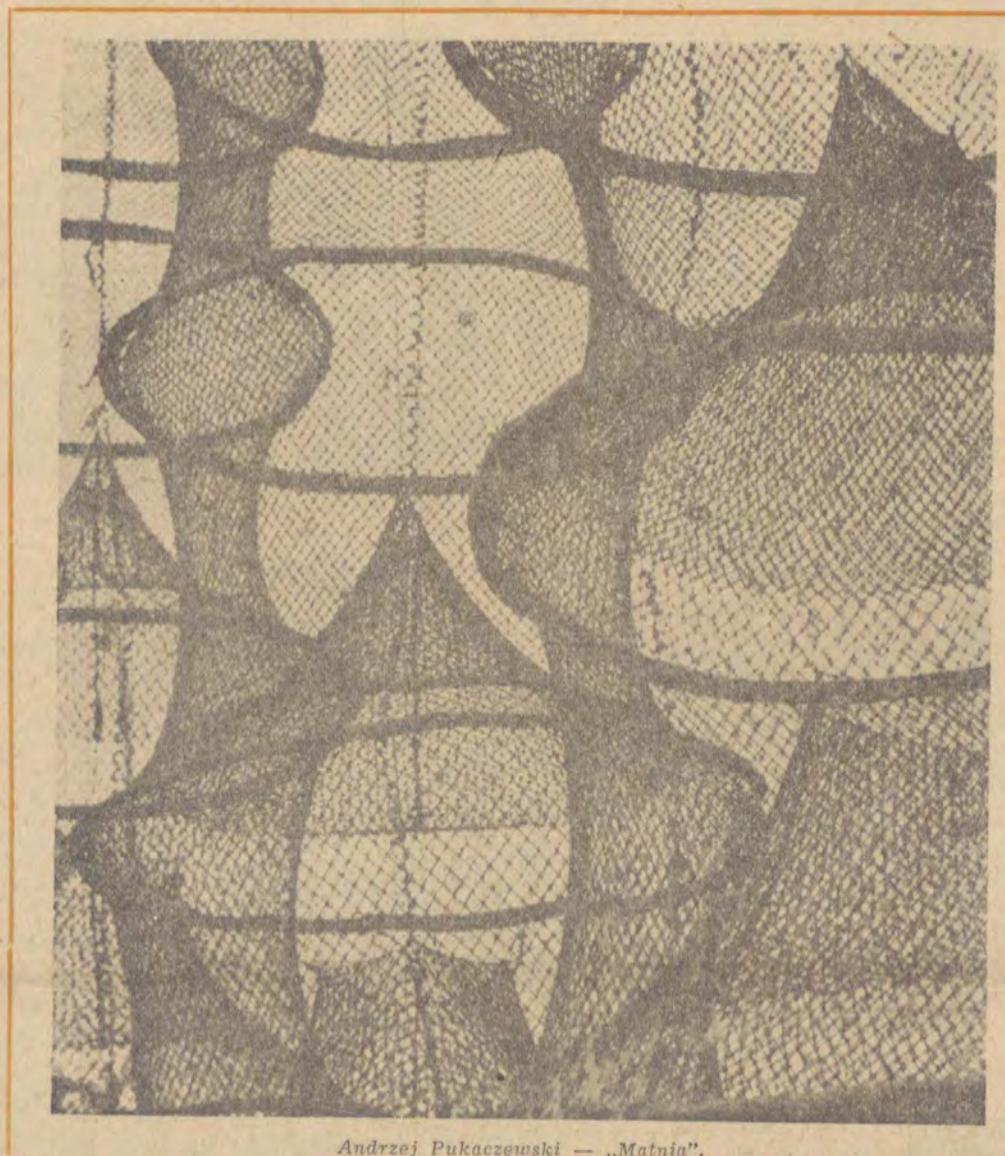
„Jestem przekonany — pisze Griffin — że nie tylko Namu, lecz i inne wieloryby zębate mogą się nauczyć różnego rodzaju skoków i manewrów pływackich równie szybko, jak delfiny. Jest między nimi tylko ta zasadnicza różnica, że pracując z wielorybem zębatym nie należy zapominać, iż jest to zwierzę drapieżne, niebezpieczne, które rego odruchów niepodobna przewidzieć”.

Badania nad „leksykönem” Namu prowadził pracownik Instytutu naukowo-badawczego uniwersytetu w Stanford, Thomas Powiler. Wyjaśnił on, że większość dźwięków, które wydaje wieloryb zębate wydobywa się z krtani. Przechodząca na powierzchnię wody, wydaje dźwięki poprzez narząd oddychania. W głębinach morskich, dźwięki powstające w krtani zwierzęcia przedostają się na zewnątrz, tzn. do wody, za pośrednictwem tkanek ciała, które są znakomitym przewodnikiem dźwięku.

Wieloryby są zdolne do wydawania dźwięków o szerokiej skali częstotliwości — od 50 (najniższa granica) do 40 tys., a nawet i do 100 tysięcy dźwięków na sekundę. Dla porównania: ucho ludzkie przyjmuje dźwięki w granicach od 50 do 20 tys. dźwięków na sekundę.

Zdaniem szeregu uczonych, ostatnie naukowe obserwacje Namu i związane z tym eksperymenty są bardzo cenne.

„Wydałem mi się — oświadczył niedawno znany uczonec amerykański, biolog Remington Kellogg, że niektóre uprzednie wyobrażenia o tych zwierzętach powinniśmy dziś odrzucić. Reakcje Namu na określone bodźce były akurat odwrotne do oczekiwanych. Mimo wszystko, wstrzymałbym się jeszcze od szerszych uogólnień.”



Andrzej Pukaczewski — „Matnia”.

dzić. I tak oto, stopniowo, z dnia na dzień, człowiek i wieloryb stali się przyjaciółmi.

Wieloryby często ocierają się o siebie, żeby zetrzeć łuskę ze skóry. Podczas każdego spotkania Griffin pocięrał szczołką grzbiet i brzuch zwierzęcia, co Namu przy-

jęło mu pod wodą. Płynęli obok siebie bardzo powoli.

„Jedną reke — opowiada Griffin — wsparłem na nosie Namu, zaś druga, w której trzymałem rybę, drażniłem go, podsuwając rybę pod samą paszcze, to znów oddalał się. Nie powinienem tego ro-

ko, że nie zdażyłem się przestraszyć. Na szczęście, Namu, niemniej szybko otworzył paszcze i wypuścił z zębów nogę. Proszę sobie wyobrazić — nawet nie poczułem uścisku tych potężnych szczęk...”

„Ulubionym zajęciem Namu była zabawa w „kotka i myszkę”. Myszką był Griff-

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym
okiem

GDZIE MY ICH UPCHAMY?

Nareszcie — pierwszy raz od kilkunastu lat — rozpoczynam własnie egzaminom maturalnym nie towarzyszy wala historia i tworzenia na silę bohaterów, meceników, nieszczęśliwych ofiar. Smieszna i denerwująca, a nader mloda tradycja swawalo sie produkowanie wokół tak normalnego zdarzenia atmosfery klęski żywiołowej, strasliwego niebezpieczeństwa, przez które przebrnąć muszą biedne, blade, nerwowe, zmordowane dzieci. Tym razem ani kronika filmowa nie pokazuje mamus, lamiących palce ze zdenerwowania przy gotowaniu czekolady z pianką w szkolnym bufecie, ani ekspresy nie zapowiadają pod alarmującymi tytułami: „Za tydzień maturą”, „Za trzy dni maturą”, „Już jutro...” — jak gdyby to były komunikaty o zbliżaniu się nawaly tatarskiej; jeszcze tylko ojcowie w biurach i matki przez telefon przekazują sobie zasadnicze informacje, z czego synka pyta-li, czym się speszyla córeczka, w jakim humorze był matematyk. Może minie i to, może rzecz wróci do swych właściwych wymiarów — także w oczach samych abiturientów, którzy przecież zdawali egzamin przez wiele lat prawie codziennie, odpowiadając „przy tablicy”, pisząc klasówki, łapiąc dwie i piątki. Ostatni egzamin naprawdę

nierzem się od poprzednich nie różni, pytają ci sami, znani od lat profesorowie, wiedząc co położyć na karb tremy, w czym kandydat jest mocny, czego można po nim oczekiwać.

Do tworzonego sztucznie, rozdmuchwanego strachu przed maturą, którym młodzież chętnie się popisywała i z którego potrafiła profitować, przy-wielokrotnie ochoczo pozy gwiazdorów i krzywdzo-nych nieulduko ofiar systemu szkolnego, doszła w ostatnich latach jeszcze jedna nuta, chyba bardziej zrozumiała, ale równie niepożądana. Po maturze przecież młody człowiek musi wybrać zawód. To ważniejsze i trudniejsze, niż sama klasówka, zwaną maturą. Historyczne skłonności naszych rodaków znalazły dla siebie nową pozycję.

„Problematyka wyżu demograficznego — mówi profesor Lipiński w wywiadzie „Kultury” — która zrobiła taką karierę w publicystyce, została odebrana przez społeczeństwo jak komunikat o nadjeździe niespodziewanej plagi. Główna nuta była następująca: gdzie my tę młodzież upchamy? Natomiast powinniśmy przecież pytać: jak najlepiej wykorzystac ten niewątpliwie kapitał?”

Młody człowiek czyta, słucha i martwił się perspektywą swego startu w tłumie rówieśników. Rze-czywiście: powiemy, że abiturient ma już określone upodobania i plany, chce być architektem. Albo biochemikiem. Czyta, jaki tłok panuje na architekturze. Nie ma co. Decyduje się na włókiennictwo. Tłok o parę oczek mniejszy. Odpada. Kandydat zaczyna panicznie szukać czegośkolwiek, bycie nie został na piasku, próbuje technikum dla fel-czerów i kursu stenografii, dostaje się wreszcie na studium dla kierowników świetlic wiejskich, o czym nigdy w życiu nie myślał. Czasem się do swego niechcianego fachu zapala. Częstoć będzie bimbat, grzył siebie i otoczenie, gorkpisał — i tak już na stałe.

Nie ma zawodu, którego można by się nauczyć raz na zawsze. W każdym trzeba nieustannie się doszkalać, jeśli się ma ambicje. Młody człowiek, który z musu i z braku wyboru został czymś tam, nie będzie sobie zadawał podobnych pytań przez całe życie. Będzie po prostu coraz gorzej pracownikiem w swoim zawodzie, z pretensją do całego świata. Dlatego powiedzieliśmy, że ten niepokój — w porównaniu z przyjemną i nieprawdziwą treścią przedmaturalną — wydaje nam się bardziej uzasadniony. Byłoby znów nie zrobić z niego dziennikarskiej sensacji.

W tym roku nie zrobiono. To dobrze. Byłoby zaś bardzo, bardzo dobrze, gdyby odpowiednio czynniki — nie umiem ich nazwać po imieniu — studiujące i planujące szkolenie kadr w skali całego kraju, nie były zaskakiwane coraz to nową nadprodukcją: to za dużo plastyków, to za dużo geografów. W przemyśle nie wolno produkować rzeczy niezamówionych. Nie produkujemy więc niepotrzebnych fachowców. Mato: te same czynniki mogłyby się postarować nie tylko do zbierania na dwa tygodnie przed maturą ankiet: „Czym chciałbyś zostać?”, ale i do bardzo głębokiej akcji propagandowej — coś za brzydkie słowo! — na rzecz potrzebnych zawodów. Namawiać młodych ludzi — oczywiście w sposób rzetelny i uczciwy — na wybieranie kierunków, o których może nie słyszeł, albo mieli o nich niestudne pojęcie. Ukazywać perspektywę, możliwości awansów. Człowiek to nie przedmiot ani cyfra, nie można go po prostu wpiąć w tę a nie inną krótką pianę. Ale przecież moż na i trzeba go informować, przekonywać, próbować „jak najlepiej wykorzystac ten niewątpliwie kapitał”: zdolną, chętną, skłonną do entuzjastmu młodzież.

CWIEK